RĘKOPIS ZNALEZIONY

W SARAGOSSIE

ROMANS WYDANY POŚMIERTNIE

Z DZIEŁ

HR. JANA POTOCKIEGO.

TOM VI.

Wydanie J. N. Bobrowicza.

LIPSK

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ

(*Librairie étrangère*).

1847.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY.

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i cygan mając czas wolny tak dalej zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Następnego roku, kawaler Toledo objął główne dowództwo nad galerami, brat zaś jego przysłał mu na wydatki sześćkrocstotysięcy piastrów. Zakon miał w ówczas sześć galer, do których Toledo dwie, własnym kosztem uzbroił. Kawalerów zebrało się sześciuset. Była to najpierwsza młodzież Europy. Naówczas zaczynano we Francyi dawać wojsku mundury, co dotąd nie było jeszcze w zwyczaju. Toledo dał nam mundur przez pół francuzki i hiszpański. Nosiliśmy purpurowy kaftan, czarną zbroję z krzyżem maltańskim na piersiach, kryzę i kapelusz hiszpański. Ubiór ten dziwnie pięknie przypa-

dał nam do twarzy, gdzie tylko przybijaliśmy kobiety nie odchodziły od okien, ochmistrzynie zaś biegały z miłosnemi bilecikami, które często przez omyłkę oddawały komu innemu. Zamiany takowe stawały się powodem najzabawniejszych wydarzeń. Przybijaliśmy do wszystkich portów śródziemnego morza i wszędzie nowe uroczystości nas oczekiwały. Pośród tych rozrywek zacząłem dwudziesty rok życia, Toledo miał dziesięć lat więcej. Wielki mistrz ozdobił go wielkim krzyżem i nadał mu godność przeora Kastylji. Opuścił Maltę okryty nowemi zaszczytami i namówił mnie, abym towarzyszył mu w podróży po Włoszech. Wsiedliśmy na okręt i szczęśliwie przybyliśmy do Neapolu. Nie tak prędko bylibyśmy wyjechali, gdyby powabny Toledo był tak łatwym do zatrzymania, jak łatwo dawał się chwytać w sieci pięknych kobiet; ale przyjaciel mój, w wysokim stopniu posiadał sztukę porzucania kochanek, nie zrywając przeto z niemi dobrych stosunków. Opuścił więc miłostki neapolitańskie dla przyjęcia nowych więzów kolejno w Florencyi, Medyolanie, Wenecyi, Genui, tak że dopiero następnego roku przybyliśmy do Madrytu. Pierwszych dni, Toledo poszedł przedstawić

się królowi, następnie pokazać w Prado. Wziął najpiękniejszego konia ze stajni brata swego księcia Lerny, kazał osiodłać dla mnie drugiego niemniej pięknego i pojechaliśmy zmieszać się z czeredą toczącą przy drzwiczkach kobiecych powozów.

Przepyszny pojazd zwrócił naszą uwagę. Była to otwarta kareta w której siedziały dwie kobiety w napół żałobnym stroju. Toledo poznał dumną księżnę Davila i podjechał aby się z nią przywitać; druga kobieta odwróciła się, nieznał jej wcale i zdawał się być oczarowanym jej pięknością.

Nieznajomą tą, była ta sama księżna Medina Sidonia, która tylko co była porzuciła swoje schronienie i wracała do świata. Poznała dawnego swego niewolnika i skrycie położyła palec na ustach, dając znak abym nie wydał jej tajemnicy. Następnie obróciła piękne swe oczy na Toledo, który przybrał postać poważną i bojaźliwą jakiej w nim dotąd nie widziałem przy żadnej kobiecie. Księżna Sidonia oświadczyła że nie wejdzie już w powtórne związki, księżniczka Davila zaś że nigdy nie pójdzie za mąż. Do tak nieodmiennie obranych postanowień, kawaler maltański właśnie w sam czas przybywał. Obie

damy nader mile przyjęły Toleda który z wdzięcznością podziękował za ich łaskę, księżna Sidonia zaś udając że mnie po raz pierwszy widzi, potrafiła zwrócić na mnie uwagę swej przyjaciołki. Tym sposobem utworzyliśmy dwie pary, które ciągle spotykały się pośród wszystkich uroczystości Madrytu. Toledo kochany po setny raz w życiu, ja zaś zakochany po raz pierwszy. Starałem się składać hołdy pełne poszanowania u stóp księżniczki Davila. Za nim jednak przystąpię do opowiedzenia wam moich stosunków z tą damą, muszę uwiadomić was o położeniu w jakiem naówczas się znajdowała.

Książe Davila, ojciec jej, umarł podczas naszego pobytu na Malcie. Śmierć człowieka chciwego zaszczytów zawsze wielkie na ludziach wywiera wrażenie. Jestto upadek który zawsze, jeżeli ich nie wzrusza, to przynajmniej zadziwia. Pamiętano w Madrycie infantkę Beatę i tajemny jej związek z księciem. Zaczęto wspominać o synu na którym miały spoczywać dalsze losy tej rodziny. Spodziewano się że testament nieboszczyka objaśni tę tajemnicę, ale spełzły powszechne oczekiwania, testament niczego nie objaśniał. Dwór milczał, tymczasem zaś dumna księżniczka

Davila weszła w świat, wynioślejsza, bardziej gardząca zalotnikami i stanem małżeńskim, niż kiedykolwiek.

Chociaż urodziłem się z uczciwej szlacheckiej rodziny, atoli w pojęciach hiszpańskich nie mogła istnieć żadna równość między mną a księżniczką, do której mogłem tylko zbliżyć się jako młody człowiek szukający jej opieki dla wyrobienia sobie losu. Toledo, był niejako rycerzem pięknej Sidonji, ja zaś niby koniuszym jej przyjaciołki. Służba ta niemiała dla mnie nic nieprzyjemnego, mogłem nie zdradzając mojej namiętności uprzedzać wszelkie chęci zachwycającej Manueli, wypełniać jej rozkazy, słowem wyłącznie poświęcić się na jej usługi. Tak, wiernie pilnując skinień mojej władczyni, strzegłem się aby żaden wyraz, rzut oczu lub westchnienie nie wydały uczuć mego serca. Bojaźń ubliżenia jej i zakazu widywania, jaki łatwo mógł po tem nastąpić, dodawała mi siły do ukrycia mojej namiętności. Śród tego, księżna Sidonia o ile możności starała się podnieść mnie w oczach swej przyjaciołki, ale łaski jakie otrzymywała dla mnie, ograniczały się jedynie na kilku przyjaźnych uśmiechach wyrażających zimną przychylność.

Stan taki trwał przeszło przez rok. Widywałem książniczkę w kościele, w Prado odbierałem jej rozkazy na cały dzień, ale nigdy noga moja nie postała w jej domu. Pewnego dnia, kazała przywołać mnie. Zastałem ją nad krosnami otoczoną orszakiem służebnic. Wskazawszy mi krzesło, przybrała postać niesłychanie dumną i rzekła: « Señor Avadoro, ubliżyłabym pamięci mych przodków, których krew płynie w moich żyłach, gdybym nie użyła całej wziętości mojej rodziny do wynagrodzenia przysług jakie codziennie mi wyświadczasz. Wuj mój książe Soriento, uczynił mi też samą uwagę i ofiaruje ci miejsce pułkownika w pułku jego nazwiska. Spodziewam się że nieodmówisz mu zaszczytu przyjęcia tej godności. Zastanów się. »

« Pani — odpowiedziałem — połączyłem moją przyszłość z losem kawalera Toledo i nie pragnę innych godności jak tych tylko, które on sam dla mnie otrzyma. Co zaś do przysług jakie mam szczęście codziennie waszej książęcej mości wyświadczać, najsłodszą dla mnie nagrodą będzie pozwolenie ich nie przerywania. » Księżniczka nic mi na to nie odrzekła, tylko lekkiem skinieniem głowy dała znak że mogłem odejść.

W tydzień potem, znowu przywołano mnie do dumnej księżniczki. Przyjęła mnie podobnie jak za pierwszym razem i rzekła: «Señor Avadoro, nie ścierpię abyś miał zwyciężyć w wspaniałości Davilów, Sorientów i wszystkich grandów należących do mojej rodziny. Mam zamiar ofiarowania ci innych warunków korzystnych dla twego szczęścia. Pewien szlachcic, którego rodzina oddawna jest z nami złączoną, zyskał znaczny majątek w Mexyku. Ma córkę jedynaczkę i daje jej milion posagu.»

Nie pozwoliłem dokończyć księżniczce tych słów, i powstawszy z niejakiem oburzeniem, odparłem: « Chociaż krew Davilów i Sorientów nie płynie w moich żyłach, serce jednak w jakiem bije, za wysoko jest umieszczonem aby milion mógł do niego dosięgnąć.»

Chciałem odejść ale księżniczka kazała mi pozostać, następnie oddaliła kobiety do drugiej komnaty, zostawując drzwi otwarte i rzekła: « Señor Avadoro, jedną tylko nagrodę mogę ci ofiarować, gorliwość twoja dla mego szczęścia pozwala mi spodziewać się że tej nieodmówisz. Idzie o oddanie mi ważnej przysługi.»

« W istocie — odrzekłem — jestto jedyna

nagroda jaka by mnie uszczęśliwiła. Żadnej innej nie pragnę i przyjąć nie mogę.»

«Przybliż się — mówiła dalej księżniczka — nie chcę aby nas słyszano z drugiego pokoju. Avadoro, wiesz zapewne że mój ojciec potajemnie był małżonkiem infantki Beaty i być może że wspominano ci nawet jakoby miał z nią syna. Mój ojciec, sam tę pogłoskę rozpuścił, dla zbicia dworzan z prawdziwego toru. Tymczasem książe Davila zostawił córkę która żyje i wychowuje się w jednym z klasztorów niedaleko Madrytu. Ojciec mój, umierając, odkrył mi tajemnicę jej urodzenia o której ona sama nie wie. Uwiadomił mnie także o zamiarach jakie względem niej powziął, ale śmierć położyła koniec wszystkiemu. Niepodobnem byłoby odnowienie całej sieci chciwych zaszczytów intryg, jaką książe utkał dla dopięcia swoich celów. Zupełne uprawnienie mojej siostry, równie jest trudnem do otrzymania i pierwszy krok jakibyśmy przedsięwzięli mógłby za sobą pociągnąć zgubę tej nieszczęśliwej. Niedawno byłam u niej. Leonora jest to prosta, dobra i wesoła dziewczyna. Pokochałam ją z całego serca, ale ksieni tyle mi nagadała o jej nadzwyczajnem podobieństwie do mnie, że nie śmiałam więcej po-

wrócić. Pomimo to oświadczyłam, że pragnę szczerze się nią opiekować i że jest ona jednym z owoców niezliczonych miłostek jakie mój ojciec miał w swojej młodości. Odtąd, doniesiono mi że dwór zaczął wypytywać się o nią w klasztorze; wieść ta napełniła mnie niespokojnością, postanowiłam więc sprowadzić ją do Madrytu.

« Posiadam na opuszczonej ulicy, która nawet nazywa się Retardo, niepozorny domek. Kazałam nająć dom naprzeciwko i proszę cię abyś w nim zamieszkał i czuwał nad skarbem jaki ci powierzam. Oto jest adress twego nowego pomieszkania, tu zaś list który oddasz ksieni Urszulinek z Peñonu. Weźmiesz z sobą czterech jezdnych i powóz z dwoma mułami. Ochmistrzyni przyjedzie z moją siostrą i będzie z nią mieszkała. We wszystkiem do niej się odwołasz, do domu zaś nie wolno ci wchodzić. Córka mego ojca i infantki niepowinna nawet dawać pozorów, mogących skazić jej sławę. » To powiedziawszy, księżniczka lekko skinęła głową; był to dla mnie znak odejścia. Opuściłem ją i udałem się naprzód do mego nowego mieszkania, które znalazłem wygodnem a nawet dość zbytkownie urządzonem. Zostawiłem w niem dwóch wier-

nych służących sam zaś zatrzymałem mieszkanie jakie zajmowałem u Toledo. Co zaś do domu pozostałego mi po moim ojcu, ten wynająłem za cztersta piastrów.

Widziałem także dom przeznaczony dla Leonory. Zastałem w nim dwie służące i starego sługę rodziny Davilów, który nie nosił liberyi. Dom, obficie i wytwornie zaopatrzonym był we wszystko czego potrzeba do dostatniego mieszczańskiego gospodarstwa. Nazajutrz, wziąłem z sobą czterech jezdnych, powóz i pośpieszyłem do klasztoru del Peñon. Wprowadzono mnie do klauzury gdzie ksieni już na mnie czekała. Przeczytała list, uśmiechnęła się i westchnęła. « Słodki Jezu — rzekła — ileż to grzechów popełnia się na świecie, jakże szczęśliwą jestem żem go raz już porzuciła. Naprzykład, mój zacny panie, panna po którą przyjeżdżasz, tak jest podobną do księżny Davila, ale tak, że dwa obrazy słodkiego Jezuza, nie mogą być bardziej do siebie podobne. Kto zaś jest ojcem tej młodej dziewczyny, nikt o tem nie wie. Nieboszczyk książe Davila, Panie świeć nad jego doszą...» Ksieni byłaby nigdy nie skończyła swej gadaniny, ale przedstawiłem jej że muszę jak najprędzej wypełnić dane mi polece-

nie, kiwnęła więc głową, dodała kilka « niestety i słodki Jezu, » poczem poszła pomówić z odźwierną.

Udałem się do fórty. Wkrótce wyszły dwie kobiety, zupełnie zasłonięte i wsiadły do powozu nie mówiąc ani słowa. Wskoczyłem na konia i podążyłem za niemi, równie nie odzywając się do nikogo. Przybywszy do Madrytu, wyprzedziłem nieco powóz i wysadziłem obie kobiety przy drzwiach domu. Sam nie wszedłem za niemi ale udałem się do mego mieszkania, zkąd widziałem jak moje podróżne w swojem się rozgaszczały. W istocie znalazłem wielkie podobieństwo między księżniczką a Leonorą, z tą jednak różnicą, że ostatnia miała płeć bielszą, włosy zupełnie jasne i była nieco otylszą. Tak przynajmniej zdawało mi się z mego okna, tem bardziej że Leonora ani na chwilę nie usiadła na miejscu, nie mogłem przeto dokładnie jej się przypatrzyć. Szczęśliwa że wydobyła się z klasztoru, cała oddawała się niepomiarkowanej radości. Obiegła dom od poddasza aż do piwnic, zachwycając się nad sprzętami gospodarskiemi, unosząc nad pięknością rynki lub kociołka. Zadawała tysięce pytań ochmistrzyni która niemogła za nią nadążyć, i zam-

knęła nareszcie żaluzye na klucz, tak że odtąd nic już nie widziałem.

Po południu, poszedłem do księżniczki i zdałem jej sprawę z moich czynności. Przyjęła mnie ze zwykłą zimną powagą. « Señor Avadoro — rzekła — Eleonora przeznaczoną jest na uszczęśliwienie kogo swoją ręką; według naszych obyczajów nie możesz u niej bywać chociażbyś sam miał zostać jej mężem, wszelako powiem ochmistrzyni aby otwierała jedną żaluzyę od strony twoich okien, natomiast wymagam aby twoje żaluzye były zawsze pozamykane. Będziesz mi zdawał sprawę z wszelkich czynności Eleonory, atoli może twoja znajomość byłaby dla niej niebezpieczną, zwłaszcza zaś jeżeli masz do małżeństwa ten wstręt jaki kilka dni temu w tobie spostrzegłam. »

« Mówiłem tylko W.Ks.Mości — odpowiedziałem — że nigdy w małżeństwie nie będę powodował się zyskiem, chociaż, prawdę nawet mówiąc, wyznam że postanowiłem nigdy się nie żenić. »

Wyszedłem od księżniczki i udałem się do Toledo, któremu jednak nie zwierzałem się z moich tajemnic, poczem wróciłem do mego mieszkania przy ulicy Retardo. Żaluzye na-

przeciwko a nawet okna były pootwierane. Stary służący Andrado, grał na gitarze. Leonora zaś tańcowała Bolero, z żywnością i wdziękiem jakiego nigdy niebylbym się spodziewał po wychowanicy Karmelitek, tam bowiem przepędziła pierwsze lata życia i dopiero po śmierci księcia oddano ją do Urszulinek. Leonora stroiła tysiączne psoty chcąc koniecznie namówić swoją ochmistrzynię do tańcowania z Andradem. Niemogłem dość wydziwić się myśląc, że poważna i zimna księżniczka ma tak wesołą siostrę. Podobieństwo w istocie było uderzającem, kochałem się szalenie w księżniczce, żywy zatem obraz jej wdzięków mocno mnie zajmował.

Gdy tak oddawałem się roskoszy poglądania na nią, ochmistrzyni zamknęła żaluzyę i nic więcej nie widziałem.

Nazajutrz, poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej wczorajsze moje spostrzeżenia, nie taiłem niewymownej roskoszy jakiej doznałem poglądając na niewinne zabawy jej siostry, ośmieliłem się nawet przypisać zachwycenie moje podobieństwu jakie w Leonorze do księżniczki upatrzyłem.

Słowa te, wyglądały zdaleka na cień oświadczenia miłosnego, księżniczka zachmu-

rzyła czoło, przybrała jeszcze zimniejszą postać niż zwykle i rzekła: « Señor Avadoro, jakiekolwiek podobieństwo istnieje między dwoma siostrami, proszę abyś nigdy nie łączył ich razem w twoich pochwałach. Pomimo to, czekam cię jutro rano; mam zamiar wyjechania na kilka dni i chciałabym przed podróżą moją z tobą pomówić. »

« Pani — odpowiedziałem — gdybym miał zginąć pod ciosem twego gniewu, rysy twoje obecne są mojej pamięci jakby obraz jakiego bóstwa. Wiem jaka przestrzeń nas rozdziela, abym śmiał podnieść myśl uczucia do ciebie. Dziś jednak nagle znajduję obraz boskiej twojej piękności w osobie młodej, wesołej, szczerej, prostej i otwartej, któż mi więc zabroni ciebie pani w niej ubóstwiać? »

Za każdym wyrazem, rysy księżniczki przybierały coraz surowszy wyraz. Myślałem że każe mi odejść i nie pokazywać się więcej na oczy, ale przeciwnie, powtórzyła mi łagodnie abym nazajutrz powrócił.

Obiadowałem w Toledo, wieczorem zaś wróciłem na moje stanowisko. Okna na przeciwko były pootwierane, tak że dokładnie mogłem widzieć co się działo w całem mieszkaniu. Leonora stała w kuchni i przyprawiała

olla-podridę. Co chwila pytała się ochmistrzyni o radę, krajała mięso i układała na półmisku ciągle śmiejąc się i okazując najżywszą radość. Następnie, nakryła stół białym obrusem i postawiła dwa skromne nakrycia, które zdawały się niby oczekiwać na małżonków. Leonora ubraną była w skromny stanik, z rękawami od koszuli zawiniętemi aż po łokcie.

Zamknięto okna i żaluzye, ale to co widziałem, sprawiło na mnie silne wrażenie, któryż bowiem młody człowiek może z zimną krwią spoglądać na wnętrze domowego pożycia. Obrazy takiego rodzaju są przyczyną że ludzie się żenią. Nazajutrz, poszedłem do księżniczki; sam niewiem co już jej mówiłem. Ona zdawała się znowu obawiać oświadczenia miłosnego. «Señor Avadoro — rzekła — wyjeżdżam, jak ci to już wczoraj mówiłam, przepędzę jakiś czas w mojem księstwie Davila. Pozwoliłam mojej siostrze używać przechadzki po zachodzie słońca, nie odchodząc wszakże daleko od domu. Jeżeli naówczas zechcesz się do niej zbliżyć, uprzedziłam ochmistrzynię aby niebroniła ci z nią rozmawiać tak długo jak tylko sam zechcesz. Staraj się zbadać serce i sposób myślenia tej

młodej osoby, opowiesz mi za powrotem twoje uwagi.» Po tych słowach, lekkie skinięcie głowy dało mi znak odejścia. Z boleścią rozstawałem się z księżniczką, kochałem ją bowiem z całego serca. Jej nadzwyczajna duma wcale mnie nie zrażała, sądziłem bowiem że gdy zechce oddać komu swoje serce, wybierze zapewne kochanka z niższego stanu, jak się to zwykle dzieje w Hiszpanji. Jednem słowem, przez cały ten dzień rozmyślałem o księżniczce, wieczorem dopiero zacząłem myśleć o jej siostrze. Poszedłem na ulicę Retardo. Księżyc jasno świecił, poznałem Leonorę siedzącą z ochmistrzynią na ławce, tuż przy drzwiach. Ochmistrzyni spostrzegła mnie, zbliżyła się, zaprosiła abym usiadł przy jej wychowanicy, sama zaś oddaliła się. Po chwili milczenia, Leonora rzekła:

« Señor więc jesteś tym młodym człowiekiem którego mi pozwolono widywać? Mogęż liczyć na twoją przyjaźń? » — Odpowiedziałem że nigdy się na niej nie zawiedzie. —

« Dobrze więc — rzekła — w takim razie, racz mi powiedzieć jak się nazywam? »

« Leonora, » odrzekłem.

« Nie o to się pytam — przerwała — muszę

przecie mieć jeszcze drugie nazwisko, nie jestem już tak prostą jaką byłam u Karmelitek. Tam myśliłam że świat składa się tylko z zakonnic i spowiedników, ale teraz wiem że są żony i mężowie którzy ich nigdy nie opuszczają i że dzieci noszą nazwisko ojca. Dla tego to pragnę dowiedzieć się o mojem nazwisku.»

Ponieważ Karmelitki w niektórych klasztorach żyją według nader ostrej reguły, nie zdziwiła mnie więc ta nieświadomość w dwudziestoletniej dziewczynie. Powiedziałem jej następnie że widziałem ją tańczącą w jej pokoju i że zapewne nie u Karmelitek uczyła się tańca. — «Nie — odpowiedziała — książe Davila, umieścił mnie u Karmelitek, ale po jego śmierci odwieziono mnie do Urszulinek gdzie jedna wychowanica nauczyła mnie tańca, druga śpiewu, inna różnych innych rzeczy, zwłaszcza tyczących się małżeństwa i miłości, między wychowanicami bowiem nie ma żadnych tajemnic. Co do mnie, chciałabym koniecznie mieć nazwisko, ale do tego potrzeba abym poszła za mąż.»

Następnie, Leonora mówiła mi o komedyi, o przechadzkach, walkach byków i oświadczyła niepomiarkowaną ciekawość widzenia

tych wszystkich rzeczy. Odtąd, kilka razy z nią rozmawiałem, ale zawsze wieczorem. W tydzień potem otrzymałem od księżniczki list następującej treści.

« Księżniczka Davila do Don Juana Avadoro.

« Zbliżając cię do Leonory, spodziewałam « się że obudzę w niej pewną skłonność ku « tobie. Ochmistrzyni zaręcza mi że spełniły « się moje nadzieje. Jeżeli mam wierzyć po- « święceniu jakie zawsze dla mnie okazywa- « łeś, zaślubisz Leonorę. Pomyśl że odmowa « będzie dla mnie nieprzebaczoną obrazą. »

Odpowiedziałem temi słowy:

« Don Juan Avadoro do księżniczki Davila.

« Poświęcenie moje dla Waszej Książęcej « Mości jest jedynem uczuciem jakie zajmuje « moją duszę. Inne jakie się żonie przyna- « leżą zapewne nieznalazłyby już w niej miej- « sca. Leonora zasługuje na męża, któryby ją « tylko kochał. »

Otrzymałem następującą odpowiedź:

« Księżniczka Davila do Don Juana Avadoro.

« Zbytecznem byłoby dłużej ukrywać przed « tobą. Jesteś dla mnie niebezpiecznym i od-

« mowa z twojej strony ręki Eleonory, spra-
« wiła mi najżywszą radość jakiej w życiu
« doznałam. Postanowiłam jednak zwyciężyć
« się. Daję ci do wyboru: albo zaślubić Leo-
« norę, lub też na zawsze być wygnanym
« z mojej obecności a może nawet z Hiszpanji.
« Wiesz że rodzina moja ma dość wziętości
« na dworze. Nie odpisuj mi więcej; wydałam
« ochmistrzyni stosowne polecenie. »

Jakkolwiek zakochany byłem w księżniczce, tak niepomiarkowana jednak duma, mocno mnie ubodła. Zrazu chciałem wszystko wyznać przed Toledem i uciec się pod jego opiekę; ale kawaler zawsze zakochany w księżnie Sidonji, nader był przywiązanym do jej przyjaciołki i nigdy nie byłby nic przeciw niej przedsięwziął. Umyśliłem więc milczeć i wieczorem siadłem w oknie aby się przypatrzyć mojej przyszłej małżonce.

Okna były otwarte, widziałem dokładnie całe mieszkanie. Leonora siedziała śród czterech kobiet które zajmowały się jej ubieraniem. Miała na sobie atłasową błękitną suknię, haftowaną złotem, wieniec z kwiatów na głowie i dyamentowy naszyjnik. Długa biała zasłona okrywała ją od stóp aż do głowy. Zadziwiły mnie te przygotowania. Wkrótce

zadziwienie moje jeszcze się powiększyło. W głębi pokoju postawiono stół, ubrano go jak ołtarz i oświecono.

Wszedł ksiądz z dwoma panami którzy zdawali się być świadkami obrzędu, brakowało tylko nowożeńca. Usłyszałem stukanie do mych drzwi i głos ochmistrzyni która mi rzekła: «Czekają na ciebie Señor, nie sądzę bowiem abyś chciał sprzeciwiać się rozkazom księżniczki.»

Poszedłem za ochmistrzynią, Panna młoda nie zdejmowała zasłony. Położono jej rękę w moją, słowem pożeniono nas. Świadkowie złożyli mi życzenia szczęścia, równie jak mojej małżonce, której oblicza nie widzieli i odeszli. Zostałem się sam z moją żoną w pokoju słabo oświeconym promieniami księżyca. —

Gdy cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy zażądał jego obecności. Odszedł i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY.

Zeszliśmy się o zwykłej godzinie i cygan mając czas wolny, tak nam dalej opowiadał:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

— Opowiedziałem wam dziwne moje małżeństwo. Sposób, jakim żyłem z moją żoną był równie szczególnym. Po zachodzie słońca żaluzya się otwierała i widziałem całe wnętrze jej mieszkania. W nocy nie wychodziła i nie miałem sposobności zbliżenia się do niej. O północy dopiero ochmistrzyni przychodziła po mnie i odprowadzała nad rankiem.

W tydzień potem księżniczka wróciła do Madrytu. Zobaczyłem ją. Popełniłem świętokradztwo względem miłości jaką ku niej pałałem i gorzko je sobie wyrzucałem. Ona przeciwnie, postępowała ze mną z niewypowiedzianą przychylnością. Ile razy sam na

sam ze mną się znajdowała, porzucała dawny zimny sposób obejścia, byłem dla niej bratem, przyjacielem.

Pewnego wieczora, wracałem do siebie, to jest do mego mieszkania przy ulicy Retardo i właśnie zamykałem drzwi, gdy uczułem że ktoś ciągnął mnie za połę od sukni. Obróciłem się i poznałem Busquera.

«Mam cię nareszcie Señor — rzekł — kawaler Toledo żali się że cię od tak dawna nie widział, że kryjesz się przed nim, że nie może domyślić się co tak ważnego porabiasz. Prosiłem go o dwadzieścia cztery godzin czasu, po upływie których obiecałem że mu wszystko wiernie doniosę. Powiodły mi się moje zamiary. Ale ty paniczu, niezapominaj uszanowania jakie mi winieneś, ożeniłem się bowiem z twoją macochą.» Ostatnie te słowa przypomniały mi ile Busqueros przyczynił się był do śmierci mego ojca, ofuknąłem się więc na niego i szczęśliwie pozbyłem.

Nazajutrz, poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej to nieszczęsne spotkanie. Zdawała się być mocno zmartwioną. «Busqueros, rzekła, jestto szpieg, którego uwadze nic ujść nie zdoła. Trzeba usunąć Leonorę z pod jego ciekawości. Dziś jeszcze wypra-

wię ją do Davila. Nie miej mi tego za złe, Avadoro, czynię to dla jej i dla twego szczęścia.»

«Pani — odpowiedziałem — myśl szczęścia przypuszcza spełnienie życzeń, ja zaś nigdy nie życzyłem sobie zostać małżonkiem Leonory. Pomimo to, muszę wyznać że teraz przywiązałem się do niej i przywiązanie to z każdym dniem wzrasta, jeżeli w każdym razie wolno mi użyć tego wyrażenia, nigdy jej bowiem w dzień nie widuję.» Tego samego wieczora poszedłem na ulicę Retardo, ale nikogo nie zastałem. Drzwi i okna były pozamykane.

W kilka dni potem, Toledo kazał mnie przywołać do swego gabinetu i rzekł: «Mówiłem o tobie królowi. Najjaśniejszy Pan wysyła cię z depeszami do Neapolu. Peterborough, ten zacny Anglik, dla nader ważnych spraw pragnie widzieć się ze mną w Neapolu. JKMość nie życzy sobie abym odbył tę podróż, ty więc musisz mnie zastąpić. Wszelako, dodał Toledo, zdaje mi się że ten zamiar nie bardzo przypada ci do smaku.»

«Nieskończenie wdzięczen jestem za łaskę JKMości i waszą Señor — odpowiedziałem — ale mam tu w Madrycie opiekunkę

bez której rady nic nie odważę się przedsięwziąść.»

Toledo uśmiechnął się i rzekł: «Mówiłem już o tem z księżniczką, wychodząc odemnie prosto do niej się udaj.»

Poszedłem do księżniczki która mi rzekła: «Kochany Avadoro, znasz obecne położenie monarchji hiszpańskiej. Król blizkim jest grobu i na nim gaśnie linia austryacka. W tak krytycznych okolicznościach, każdy prawy hiszpan powinien zapomnieć o sobie i korzystać z wszelkich sposobności służenia swemu krajowi. Twoja żona jest w bezpiecznem miejscu. Leonora nie będzie do ciebie pisała, nie umie bowiem pisać, Karmelitki ją tego nie nauczyły. Ja zastąpię ją i jeżeli mam wierzyć ochmistrzyni, wkrótce doniosę ci wieści które cię jeszcze więcej do niej przywiążą.» To mówiąc księżniczka spuściła oczy, spłonęła rumieńcem, poczem dała mi znak do odejścia.

Poszedłem do ministra po rozkazy które tyczyły się polityki zewnętrznej i rozciągały także do administracyi królestwa neapolitańskiego, chciano je bowiem wszelkiemi sposobami przywiązać do Hiszpanji. Wyjechałem nazajutrz i odbyłem podróż z jak można największym pośpiechem.

Zacząłem wypełniać dane mi polecenia z gorliwością zwykłą przy każdej pierwszej pracy, w chwilach jednak wolnych od zatrudnień, wspomnienia Madrytu całkiem ogarniały władzę nad mym umysłem. Bądź co bądź, księżniczka mnie kochała, uczyniła mi wyznanie, spokrewniwszy się jednak ze mną, wyleczyła się z namiętności, zachowała mi atoli przywiązanie którego tysiączne odbierałem dowody. Leonora, tajemnicza bogini moich nocy, rękami hymenu podała mi czarę roskoszy. Wspomnienie jej panowało nad mojemi zmysłami równie jak nad sercem. Żal mój za nią, zmieniał się prawie w rozpacz. Oprócz dla tych dwóch kobiet, dla całej reszty płci pięknej, byłem obojętnym. Listy od księżniczki, dochodziły mnie razem z papierami od ministra. Żaden nie był podpisany i pismo było odmienione. Dowiedziałem się że Leonora zachodziła w ciążę, ale że była chorą, nadewszystko zaś że trawiła ją wolna gorączka. Niebawem doszły mnie wieści że zostałem ojcem i że Leonora wiele ucierpiała. Nowiny które odbierałem o jej zdrowiu zdawały się przygotowywać mnie do strasznego ciosu jaki miał wkrótce we mnie ugodzić.

Nareszcie, ujrzałem przybywającego Toledo w chwili gdy najmniej się tego spodziewałem. Rzucił się w moje objęcia. «Przybywam — rzekł — za sprawami królewskiemi, ale zarazem mam od księżniczki poselstwo do ciebie.» Przy tych słowach podał mi list który drżąc otworzyłem. Przewidywałem treść. Księżniczka donosiła mi o śmierci Leonory i ofiarowała pociechy najczulszej przyjaźni.

Toledo który oddawna był owładnął moim umysłem, użył całej przewagi dla powrócenia mi spokojności. Wprawdzie nie znałem Leonory, ale była ona moją żoną i myśl jej łączyła się z roskosznemi wspomnieniami, krótkiego naszego związku. Oddałem się na powrót pracy, ale byłem ciągle smutny i znękany.

Toledo pragnąc dać mi odpocząć, wziął na siebie wszystkie sprawy, po których załatwieniu wróciliśmy do Madrytu. Niedaleko bram stolicy, wysiadł z powozu i przemykając się krętemi ścieżkami, zaprowadził mnie na cmentarz Karmelitek. Tam pokazał mi urnę z czarnego marmuru. Na podstawie błyszczało nazwisko Leonory Avadoro. Oblałem ten grobowiec rzewnemi łzami i kilka razy

wracałem do niego za nim poszedłem przywitać się z księżniczką. Nie miała mi tego za złe, przeciwnie, za pierwszem naszem spotkaniem, okazała mi przywiązanie dochodzące prawie do rozczulenia, nareszcie zaprowadziła mnie do ostatniego pokoju swego pomieszkania i pokazała dziecie w kolebce. Wzruszenie moje doszło do najwyższego stopnia. Padłem na kolana, księżniczka podała mi rękę i kazała powstać, poczem dała mi znak odejścia.

Nazajutrz byłem u ministra który przedstawił mnie JKMości. Toledo, wysyłając mnie do Neapolu, szukał pozoru otrzymania dla mnie jakiej łaski. Zaszczycono mnie godnością kawalera krzyża Kalatrawy. Jakkolwiek ozdoba ta nie stawiała mnie na równi z pierwszymi panami, wszelako znacznie już do nich zbliżała. Odtąd księżniczka, księżna Sidonia i Toledo starali się we wszystkiem dowieść że uważali mnie za równego. Wreszcie im byłem winien cały mój los, z przyjemnością więc poglądali na moje wzniesienie się.

Wkrótce potem, księżniczka Davila poleciła mi przeprowadzić sprawę którą miała w trybunale Kastylskim. Dopełniłem jej poleceń z gorliwością i przezornością, która po-

większyła mi szacunek mojej opiekunki. Z każdym dniem, stawała się dla mnie coraz przychylniejszą. Tu zaczyna się cudowna strona moich przygód.

Po powrocie z Włoch, wprowadziłem się do mego mieszkania u Toleda, pomimo to jednak zachowałem dawne przy ulicy Retardo. Zostawiłem tam na straży służącego nazwiskiem Ambrozio. Dom naprzeciwko, ten sam w którym ślub brałem, należał do księżniczki, był zamknięty i przez nikogo nie zamieszkany. Pewnego poranku Ambrozio, przyszedł, prosząc mnie abym kogo innego przysłał na jego miejsce, zwłaszcza zaś kogoś odważnego, gdyż po północy trudno było wytrzymać, takie rzeczy działy się w domu na przeciwko.

Chciałem aby mi wytłumaczył naturę tych zjawisk, ale Ambrozio zapewnił że ze strachu na nic nie patrzył, że z resztą za żadne skarby w świecie nie podejmował się przepędzenia nocy w mojem pomieszkaniu, ani sam ani w towarzystwie.

Słowa te obudziły moją ciekawość. Postanowiłem tej samej nocy naocznie o wszystkiem się przekonać. Wewnątrz były jeszcze sprzęty, po wieczerzy więc przeniosłem się.

Kazałem jednemu ze służących spać w przedpokoju, sam zaś zająłem pokój którego okna wychodziły na ulicę naprzeciwko dawnego domu Leonory. Wypiłem kilka filiżanek czarnej kawy ażeby nie zasnąć i doczekałem się północy. Była to godzina w której według słów Ambrozio duchy się pojawiały. Dla niespłoszenia ich, zagasiłem świecę. Wkrótce w domu na przeciwko ujrzałem światło które przechodziło z piętra na piętro i z pokoju do pokoju.

Żaluzye nie pozwalały mi dostrzedz zkąd pochodziło to światło, nazajutrz jednak posłałem do księżniczki po klucze od jej domu i poszedłem go obejrzeć. Nie znalazłem żadnych sprzętów, żadnego śladu czyjegokolwiek pobytu. Odczepiłem po jednej żaluzyi na każdem piętrze i wyszedłem.

Wieczorem, udałem się na moje stanowisko i o północy znowu to samo światło zabłysło w domu na przeciwko. Tym razem jednak, spostrzegłem zkąd pochodziło. Kobieta w bieli, z lampą w ręku, obeszła wszystkie pokoje na pierwszem piętrze, przeszła na drugie i znikła. Lampa blado ją oświecała, niemogłem rozpoznać rysów, po jasnych jednak włosach poznałem Leonorę.

Nazajutrz, pośpieszyłem do księżniczki ale nie zastałem jej w domu. Udałem się do pokoju mego dziecięcia, znalazłem tam kilka kobiet niesłychanie zmieszanych i niespokojnych. Z początku nie chciano mi nic powiedzieć, nareszcie mamka wyznała że w nocy, weszła jakaś kobieta w bieli z lampą w ręku, że długo poglądała na dziecie, pobłogosławiła je i odeszła. W tem księżniczka wróciła do domu, kazała mnie przywołać i rzekła: «Mam pewne przyczyny dla których nie chcę aby twoje dziecie, dłużej tu pozostawało. Wydałam rozkazy aby mu przygotowano mieszkanie w domu przy ulicy Retardo. Tam odtąd będzie mieszkało z mamką i kobietą która uchodzi za jego matkę. Chciałam ci w tym samym domu ofiarować mieszkanie, ale namyśliłam się że mogłyby ztąd urość niepotrzebne domysły.» Odpowiedziałem że zachowam mieszkanie na przeciwko i czasami będę tam nocował.

Zastosowano się do woli księżniczki i przeniesiono dziecie. Postarałem się aby je umieszczono w pokoju wychodzącym na ulicę i aby nie zamykano żaluzyi. Gdy północ wybiła, podszedłem do okna. Spostrzegłem w pokoju na przeciwko dziecie śpiące obok

mamki. Kobieta w bieli pokazała się z lampą w ręku, zbliżyła do kolebki, długo poglądała na dziecie, pobłogosławiła je, poczem stanęła w oknie i zaczęła patrzyć na mnie. Po chwili wyszła i ujrzałem światło na drugiem piętrze, nareszcie wydostała się na dach, lekko po nim przebiegła, przeskoczyła na sąsiedni i znikła z moich oczu.

Wyznaję że odchodziłem od przytomności. Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem północy. Jak tylko wybiła, usiadłem w oknie. Wkrótce ujrzałem już nie kobietę w bieli, ale jakiegoś karła wchodzącego, z twarzą błękitnawą, jedną nogą drewnianą i lampą w ręku. Zbliżył się do dziecka, bacznie mu się przyglądał, następnie podwinąwszy nogi usiadł w oknie i zaczął z uwagą mi się przypatrywać. Niebawem z okna zeskoczył na ulicę albo raczej ześliznął się i jął lekko stukać do moich drzwi. Z okna zapytałem go kim był i czego żądał. Zamiast odpowiedzi, rzekł: «Don Juanie Avadoro, weź szpadę i kapelusz i pójdź za mną.» Uczyniłem co chciał, zszedłem na ulicę i widziałem karła o dwadzieścia kroków przedemną, kulejącego na swojej drewnianej nodze i pokazującego mi drogę latarnią. Uszedłszy około stu

kroków, zboczył na lewo i wprowadził mnie w opuszczoną część miasta która się ciągnęła między ulicą Retardo a rzeką Manzanares. Przeszliśmy pod sklepieniem i dostaliśmy się na patys zasadzony drzewami. Patys jest to podwórze na które nie zajeżdżają powozy. W głębi podwórza stał mały przysionek jak gdyby od jakiejś kaplicy. Z za kolumny pokazała się kobieta w bieli, karzeł oświecił latarnią moją twarz. « To on! — zawołało zjawisko — on sam! mój mąż! mój najdroższy małżonek! Żyjesz więc mój luby? »

« Przebacz pani — odrzekłem — ale byłem przekonanym że to pani umarłaś. »

« Ja żyję, » przerwała Leonora. W istocie ona to była, poznałem ją po dźwięku głosu a bardziej jeszcze po namiętnych jej uściskach, których gwałtowność nie dała nam czasu wzajemnego zapytania się co przez tyle miesięcy oboje porabialiśmy.

Nareszcie chciałem koniecznie aby żona moja wytłumaczyła mi niepojętą stronę mego położenia; ale Leonora wyśliznęła się z moich objęć i znikła w ciemności. Nie wiedziałem co z sobą począć, na szczęście karzeł ofiarował mi pomoc swojej latarni, udałem się za nim przez zwaliska i opuszczone ulice, gdy

w tem nagle latarnia zagasła. Karzeł którego przywoływałem nie odpowiadał na moje krzyki, noc była zupełnie ciemną, postanowiłem położyć się na ziemi i doczekać dnia. Zasnąłem i obudziłem się gdy słońce już było wysoko. Leżałem pod urną z czarnego marmuru na którym wyczytałem napis: « Tu leży Leonora Avadoro. » Nie było wątpienia, przepędziłem noc przy grobowcu mojej żony, przypomniałem sobie zaszłe wypadki i wyznam że wspomnienie ich mocno mnie zmieszało. Oddawna nie zbiżałem się do trybunału pokuty. Poszedłem do Teatynów i zażądałem dziada mego, Fra-Hieronima. Powiedziano mi że leżał chory, naówczas prosiłem o innego spowiednika. Zapytałem go czyli złe duchy mogły przybierać na się kształty ludzkie? « Jak najłatwiej — odpowiedział — ś. Tomasz, w śnie swoim wspomina o wiedmach, jest to wszelako szczególny wypadek, zdarza się jednak zwłaszcza gdy grzesznik długo nie przystępuje do boskich sakramentów. Wtedy szatany nabierają nad nim nadzwyczajnego wpływu. Jeżeli myślisz mój synu że spotkałeś wiedmy, oddaj się surowej pokucie. Nie trać czasu, nikt nie jest pewnym godziny śmierci. »

Odpowiedziałem że spotkało mnie dziwne zdarzenie, które może było tylko złudzeniem zmysłów, przy czem prosiłem go aby mi pozwolił przerwać spowiedź.

Poszedłem do Toledo który oświadczył, że zaprowadzi mnie do księżniczki Davila gdzie także będzie księżna Sidonia. Znalazł mnie nieco pomieszanym i zapytał o przyczynę. W istocie, byłem zamyślony i niemogłem zebrać dwóch myśli razem. Obiad u księżniczki nie rozproszył mego smutku, wesołość jednak tych pań była tak żywą i Toledo tak dobrze im odpowiadał, że nareszcie rozchmurzyłem czoło.

Podczas obiadu, dostrzegłem znaki porozumienia i uśmiechy które zdawały się mnie dotyczyć. Wstaliśmy od stołu i zamiast udania się do bawialnej komnaty, przeszliśmy do ostatnich pokojów. Naówczas Toledo, zamknął drzwi na klucz i rzekł: « Zacny kawalerze Kalatrawy, klęknij przed księżniczką, która już przeszło od roku jest twoją żoną. Spodziewam się iż nie powiesz żeś się tego domyślał. Ludzie, którymbyś chciał opowiedzieć twoje przygody, mogliby odgadnąć tajemnicę, najwięcej nam jednak zależy na niedopuszczeniu wzrostu podejrzenia i dotąd

usiłowania nasze pomyślny skutek uwieńczał. Wprawdzie tajemnice dumnego księcia Davila wybornie nam posłużyły. W istocie miał on syna którego chciał przyznać, ale ten umarł, książe zaś naówczas zażądał od córki ażeby nigdy nie wchodziła w małżeńskie związki i tym sposobem zostawiła cały majątek Sorientom, którzy są młodszą linią Davilów. Wyniosła nasza księżniczka za nic w świecie nie byłaby przyjęła niczyjej władzy, ale od chwili naszego powrotu z Malty, wyniosłość ta dziwnie się zniżyła i wkrótce miała uledz sławnemu rozbiciu. Na szczęście, księżniczka Davila miała przyjaciołkę która jest także twoją, kochany Avadoro. Zwierzyła się jej ze swemi uczuciami i wtedy złożyliśmy we troje walną radę. Wynaleźliśmy, a raczej wymyśliliśmy Leonorę córkę nieboszczyka księcia i infantki, która była znaną ci księżniczką, przebraną w jasne włosy, wybieloną i rozrosłą za pomocą sukni. Ty jednak ani mogłeś poznać dumnej twojej władczyni w skromnej wychowanicy Karmelitek. Byłem obecnym przy kilku powtarzaniach tej roli i wyznam że równie byłbym dał się omamić.

« Księżniczka widząc że odrzucałeś najświetniejsze związki dla jedynej chęci służe-

nia jej, postanowiła cię zaślubić. Jesteście pożenieni przed Bogiem i kościołem ale nie przed ludźmi, lub raczej napróżno usiłowalibyście udowodnić wasze małżeństwo. Tym sposobem księżniczka dotrzymała przyjętych raz zobowiązań.

«Tak połączyliście się świętym związkiem, skutkiem czego księżniczka musiała przepędzić kilka miesięcy na wsi, dla ukrycia się przed wzrokiem ogółu. Busqueros przybył do Madrytu, kazałem mu aby cię śledził i pod pozorem uniknienia przenikliwości szpiega, wyprawiliśmy Leonorę na wieś. Następnie podobało nam się, wysłać cię do Neapolu, nie wiedzieliśmy bowiem jak cię uspokoić względem twojej żony, księżniczka zaś wtedy dopiero chciała dać ci się poznać, gdy zakład miłości ustali twoje do niej prawa.

«Tu kochany Avadoro, ja błagam twego przebaczenia. Utopiłem sztylet w twem sercu, donosząc ci o śmierci osoby która nigdy nie istniała. Wszelako szczery twój żal nie był straconym. Księżniczka z radością przekonała się, że kochałeś ją pod dwoma tak różnemi postaciami.

«Od tygodnia, pragnie koniecznie wszystko ci wyjawić; ale tu znowu cała wina spada

na mnie. Uparłem się aby z tamtego świata przywołać Leonorę. Księżniczka zgodziła się przybrać na siebie rolę kobiety w bieli, ale nie ona to z taką lekkością biegała po dachu. Leonorą tą był mały kominiarczyk rodem z Sabaudyi.

« Ten sam łotr, następnej nocy przyszedł udawać kulawego djabła. Usiadł na oknie i spuścił się na ulicę za pomocą sznura przywiązanego do zasuwy od okna.

« Nie wiem co się działo na podwórzu u Karmelitek, ale dzisiejszego poranku kazałem znowu cię śledzić i dowiedziałem się że długo klęczałeś przy konfessyonale. Nie lubię mieć do czynienia z kościołem i lękałem się aby żart nie był za daleko posuniętym.

« Nie sprzeciwiałem się już zatem życzeniom księżniczki i postanowiliśmy że dziś dowiesz się o wszystkiem. »

Temi prawie słowy przemówił do mnie szlachetny Toledo, ale ja mało go słuchałem. Klęczałem u nóg Manueli, roskoszne pomieszanie malowało się w jej rysach, wyraźnie czytałem w nich wyznanie jej przegranej. Zwycięztwo moje nigdy nie miało więcej jak dwóch swiadków, z tem wszystkiem nie mniej mnie uszczęśliwiało. Doznałem najwyższego

powodzenia w miłości, w przyjaźni a nawet w miłości własnej. Co to za chwila dla młodego człowieka! —

Gdy cygan domawiał tych słów, dano mu znać że czas było zająć się sprawami hordy. Obróciłem się do Rebeki i uczyniłem jej uwagę: że słyszeliśmy opowiadanie nadzwyczajnych przygód, które jednak wytłumaczono nam zwykłym sposobem.

« Masz słuszność — odpowiedziała — być może że i twoje tak samo dadzą się wytłumaczyć. »

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY.

Oczekiwaliśmy jakichś ważnych wypadków. Cygan wysyłał posłańców na różne strony, z niecierpliwością wyglądał ich powrotu, na zapytania zaś kiedy ruszymy z miejsca, trząsł głową i odpowiadał że nie może z pewnością naznaczyć chwili. Pobyt w górach zaczął mnie już nudzić, radbym był czemprędzej przybyć do pułku, ale pomimo najszczerszej chęci musiałem jeszcze przez jakiś czas się zatrzymać. Jeżeli jednak dzień upływał nam dość jednostajnie, natomiast wieczory uprzyjemniało towarzystwo naczelnika w którym coraz nowe odkrywałem zalety. Ciekawy dalszych jego przygód, tym razem sam go już prosiłem aby zaspokoił naszą ciekawość, co też uczynił w tych słowach:

Przypominacie sobie obiad mój z księżniczką, księżną Sidonia i przyjacielem moim Toledem i jak naówczas dopiero dowiedziałem się że dumna Manuela była moją żoną. Powozy na nas czekały, udaliśmy się do zamku Soriente. Tam zastałem nową niespodziankę. Ta sama ochmistrzyni która służyła fałszywej Leonarze przy ulicy Retardo, przedstawiła mi maleńką Manuelę. Nazywała się Doña Rosalba i dziecie uważało ją za matkę.

Soriente leży nad brzegami Tagu w jednem z najczarowniejszych położeń na świecie. Wszelako ponęty natury przez chwilę tylko sprawiły na mnie wrażenie. Uzucia ojcowskie, miłość, przyjaźń, słodkie zaufanie, ogólna poufała uprzejmość, kolejno uprzyjemniały wszystkie dni moje. To co nazywamy szczęściem w tem krótkiem życiu, zapełniało wszystkie moje chwile. Stan ten trwał o ile sobie przypominam przez sześć tygodni. Trzeba było wracać do Madrytu. Przybyliśmy poźnym wieczorem do stolicy. Towarzyszyłem księżniczce do jej pałacu i wprowadziłem ją na wschody. Była mocno wzruszoną. « Don Juanie — rzekła do mnie —

w Soriente byłeś małżonkiem Manueli, w Madrycie jesteś jeszcze wdowcem po Leonorze.»

Gdy domawiała tych słów, spostrzegłem cień przesuwający się za poręczami od wschodów. Schwyciłem cień za kołnierz i przyprowadziłem do latarni. Poznałem Don Busquera. Już miałem mu wypłacić nagrodę za jego szpiegostwo gdy jedno spojrzenie księżniczki wstrzymało moje ramię. Spojrzenie to nie uszło uwagi Busquera. Przybrał zwykłą zuchwałą postać i rzekł: «Pani — nie mogłem oprzeć się pokusie podziwiania przez chwilę wspaniałości twojej osoby i zapewne nikt nie byłby mnie odkrył w mojem schronieniu, gdyby blask twojej piękności jak samo słońce, nie był oświecił tych wschodów.» Powiedziawszy tę grzeczność Busqueros skłonił się głęboko i odszedł. «Lękam się — rzekła księżniczka — aby słowa moje nie doszły ciekawych uszu tego niegodziwca. Idź Don Juanie, pomów z nim i staraj się wybić mu z głowy niepotrzebne domysły.»

Wypadek ten zdawał się mocno niepokoić księżniczkę, opuściłem ją, i znalazłem mego Busquera na ulicy. «Mości pasierbie — rzekł do mnie — o włos co nie wygrzmociłeś mnie kijem i bezwątpienia byłbyś bardzo źle

się znalazł. Naprzód byłbyś uchybił winnemu mi uszanowaniu, jako mężowi tej która była twoją macochą, następnie powinieneś wiedzieć że nie jestem już podrzędnym służalcem jakim mnie niegdyś znałeś. Od tego czasu wzniosłem się, i ministeryum a nawet dwór poznał się na moich zdolnościach. Książe d' Arcos powrócił z swego poselstwa i jest w łasce. Pani Uscaritz, dawna jego kochanka owdowiała i żyje w ścisłej przyjaźni z moją żoną. Zadzieramy więc nosy i nieboimy się nikogo. Ale ty, kochany pasierbie, powiedzno co ci takiego mówiła księżniczka? Zdawaliście się niesłychanie obawiać abym was nie podsłuchał. Uprzedzam cię, że nie bardzo lubimy ani Davilów ani Sidoniów ani nawet twego wychuchanego Toledo. Pani Uscaritz nie może mu przebaczyć że ją porzucił. Nie pojmuję po co jeździliście wszyscy do Soriente, wszelako podczas waszej nieobecności gorliwie zajmowano się wami, wy o tem nic nie wiecie, wy jesteście niewinni jak nowonarodzone dzieci. Margrabia Medina, rzeczywiście wiodący swój ród z Sidoniów, żąda tytułu księcia i ręki młodej księżniczki dla swego syna. Mała nie skończyła jeszcze jedenastu lat, ale to nic nie

szkodzi. Margrabia oddawna żyje w przyjaźni z księciem d' Arcos, który jest ulubieńcem kardynała Porto-Careiro, ten zaś jest wszechmocnym u dworu i jakoś da to się ułożyć; możesz zapewnić o tem księżnę. Ale, zaczekaj no jeszcze mości pasierbie, nie myśl żebym niepoznawał w tobie małego żebraka z pod przysionka Ś. Rocha, byłeś jednak w ówczas w niezgodzie z ś. Inkwizycyą a ja nie jestem ciekawym spraw, mających styczność z tym trybunałem. Żegnam cię teraz, do widzenia!» Busqueros odszedł, ja zaś poznałem że zawsze był tym samym wścibskim i natrętem z tą tylko różnicą, że w wyższych sferach upożytecznia teraz swoje zdolności.

Nazajutrz, obiadowałem z księżniczką, księżną Sidonia i Toledem. Opowiedziałem im wczorajszą moją rozmowę. Sprawiła ona większe wrażenie na słuchaczach aniżeli się spodziewałem. Toledo, który nie był już tak pięknym i nie miał już dawnej ochoty do zalecanek, byłby chętnie odwrócił się do zadość uczynienia swojej chęci zaszczytów, ale na nieszczęście minister książe Oropessa, na którego liczył, opuścił służbę. Rozmyślał przeto nad wyborem innej drogi. Powrót

księcia d' Arcos, ani też łaska w jakiej tenże był u kardynała, wcale go nie cieszyły.

Księżna Sidonia z przerażeniem zdawała się oczekiwać chwili w której zostanie dożywotniczką. Księżniczka Davila zaś ile razy wspomniano o dworze lub łasce, przybierała jeszcze dumniejszą niż zwykle postać. W podobnych to razach, wyraźnie spostrzegałem: że nierówność stanów, nawet na łonie poufałej przyjaźni, dawała się uczuwać.

W kilka dni potem, gdy obiadowaliśmy u księżny Sidonji, koniuszy księcia Velasqueza zapowiedział nam odwiedziny swego pana. Pan ten był naówczas w kwiecie wieku. Twarz miał piękną, strój zaś francuzki, którego nigdy nie chciał porzucić, korzystnie go między innymi odznaczał. Rozmowa jego także odróżniała go od hiszpanów, którzy często prawie nic nie mówią i zapewne dla tego uciekają się do gitary i cygar. Velasquez przeciwnie, swobodnie z jednego przedmiotu przechodził do drugiego i zawsze znajdował sposobność powiedzenia naszym paniom jakiej grzeczności. Bezwątpienia Toledo miał więcej rozumu, ale rozum czasami się tylko objawia, wielomowność zaś przeciwnie jest niewyczerpaną. Rozmowa Velasqueza

dość przypadła do smaku, on sam nawet spostrzegł że słuchacze nie byli dlań obojętnymi. Wtedy zwracając się do księżnej Sidonji z głośnym wybuchem śmiechu, rzekł: « W istocie, muszę wyznać że nic nie byłoby równie szczególnem, równie zachwycającem! »

« Cóż takiego? » zapytała księżna.

« Tak jest pani — odrzekł Velasquez — twoją piękność, twoją młodość masz wspólnie z wielą innemi kobietami; ale bez zaprzeczenia, byłabyś najmłodszą i najpiękniejszą ze wszystkich macoch. »

Księżna dotąd nigdy się nad tem nie zastanowiła. Miała dwadzieścia ośm lat. Bardzo młode kobiety były od niej znacznie młodszemi, to zaś był nowy sposób odmłodnienia.

« Wierzaj mi pani — dodał Velasquez — mówię jak najszczerszą prawdę. Król polecił mi prosić cię o rękę twojej córki dla młodego margrabiego Mediny. Jego Królewska Mość usilnie pragnie aby znakomity wasz ród nie wygasł. Wszyscy grandowie umieją cenić tę pieczołowitość. Co się zaś ciebie pani tyczy, cóż byłoby równie czarownem, jak widzieć cię prowadzącą córkę do ołtarza. Zajęcie po-

wszechne będzie musiało rozdzielić się na dwoje. Na pani miejscu, wystąpiłbym w ubiorze zupełnie podobnym do stroju jej córki, w białej atłasowej sukni haftowanej srebrem. Radzę kazać sprowadzić materyą z Paryża, wskażę pani do tego najwytworniejsze magazyny. Obiecałem już ustroić małego pana młodego, i to z francuzka, w jasnej peruce. Żegnam panie, Porto-Careiro chce mnie używać do poselstw, pragnę aby zawsze nastręczał mi równie przyjemne.» To powiedziawszy. Velasquez spojrzał kolejno na obie damy, dając każdej do zrozumienia że większe na nim sprawiła wrażenie niż sąsiadka, ukłonił się kilka razy, wykręcił na pięcie i odszedł. To naówczas wè Francyi nazywano światowem ułożeniem.

Po odejścia księcia Velasqueza, nastąpiło długie milczenie. Kobiety zadumały się nad sukniami haftowanemi srebrem, Toledo zaś zwrócił uwagę na biegące sprawy kraju i zawołał: «Jakto, czyliż nie myśli on nikogo innego używać prócz takich Arcosów i Velasquezów, to jest ludzi najbardziej lekkomyślnych w całej Hiszpanji? Jeżeli stronnictwo francuzkie tak te rzeczy rozumie, trzeba będzie obrócić się do Austryi.» W istocie

Toledo natychmiast poszedł do hrabiego Harracha, który był naówczas ambassadorem cesarskim w Madrycie. Damy udały się do Prado, ja zaś pojechałem za niemi konno.

Wkrótce spotkaliśmy przepyszny powóz, w którym rozpierały się panie Uscaritz i Busqueros. Książe d' Arcos, jechał obok nich konno. Busqueros który także pospieszał za księciem, tego samego dnia otrzymał był krzyż Kalatrawy i nosił go na piersiach. Osłupiałem na ten widok. Miałem krzyż Kalatrawy i sądziłem że dano mi go w nagrodę moich zasług, a nadewszystko prawości w postępowaniu która zjednała mi znakomitych i możnych przyjacioł. Teraz widząc ten sam krzyż na piersiach człowieka którym najbardziej pogardzałem, wyznam wam że byłem zupełnie zmieszany. Stanąłem jak przykuty na miejscu gdzie spotkałem powóz pani Uscaritz. Okrążywszy Prado i widząc mnie zawsze na tem samem miejscu gdzie mnie był wprzódy zostawił, Busqueros zbliżył się do mnie przyjacielsko i rzekł: «Przekonywasz się mój przyjacielu że różne drogi, prowadzą do tego samego celu. I ja także równie dobrze jak ty jestem kawalerem Kalatrawy.» Byłem do najwyższego stopnia oburzony.

« Wyznaję — odpowiedziałem — ale czy jesteś lub nie jesteś kawalerem, mości Busqueros, przestrzegam cię że jeżeli kiedykolwiek spotkam cię szpiegującego po domach w których bywam, postąpię z tobą jak z ostatnim nędznikiem. »

Busqueros, przybrał jak mógł najsłodszą postać i rzekł: « Kochany pasierbie, słowa twoje wymagają pewnego objaśnienia, ale ja niemogę się gniewać na ciebie i zawsze jestem i będę twoim przyjacielem. Na dowód, pragnąłbym pomówić z tobą o niektórych dotyczących cię nader ważnych rzeczach, zwłaszcza zaś co do księżniczki Davila. Jeżeli ciekawym jesteś i chcesz posłuchać, oddaj twego konia masztalerzowi i choć ze mną do poblizkiej cukierni. »

Zdjęty ciekawością i troskliwy o spokojność drogiej sercu memu osoby, dałem się namówić. Busqueros kazał przynieść chłodników i zaczął mówić rzeczy nie mające z sobą żadnego związku. Byliśmy sami, wkrótce jednak przyszło kilku officerów z gwardyi wallońskiej. Zasiedli koło stołu i kazali sobie przynieść czekulady.

Busqueros pochylił się ku mnie i półgłosem rzekł: « Kochany przyjacielu, rozgnie-

wałeś się nieco, ponieważ myślałeś że zakradłem się do księżniczki Davila, ale usłyszałem tam kilka słów które odtąd ciągle krążą mi po głowie.» Tu Busqueros zaczął śmiać się do rozpuku i spoglądać na officerów wallońskich, po czem tak dalej ciągnął: kochany pasierbie, księżniczka mówiła ci: «tam małżonek Manueli, tu wdowiec po Leo-«norze.»

To mówiąc Busqueros znowu zaczął śmiać się do rozpuku, ciągle poglądając na officerów wallońskich. Kilka razy powtórzył tę samą igraszkę. Wallończycy powstali, odeszli do kąta i z kolei zaczęli nami się zajmować. W tem Busqueros nagle zerwał się i ani słowa nie powiedziawszy wyszedł. Wallończycy zbliżyli się do mego stołu i jeden z nich, zwracając się do mnie z wielką grzecznością rzekł: «Moi towarzysze i ja radzibyśmy dowiedzieć się co pański towarzysz upatrzył w nas tak nadzwyczajnie śmiesznego?»

«Señor Caballero — odpowiedziałem — zapytanie to jest zupełnie na swojem miejscu. W istocie mój towarzysz pękał od śmiechu którego bynajmniej nie zgaduję przyczyny. Mogę jednak zaręczyć że przedmiot naszej

rozmowy wcale was niedotyczył i że toczył się o sprawach rodzinnych, w których niepodobna było upatrzyć cośkolwiek śmiesznego.»

« Señor Caballero — odparł officer walloński — wyznaję że odpowiedź waszej miłości nie zupełnie mnie zadowalnia, jakkolwiek czyni mi niezaprzeczony zaszczyt. Pójdę oznajmić ją moim towarzyszom.»

Wallończycy zdawali się naradzać między sobą i sprzeczać z tym który ze mną mówił. Po chwili tenże sam officer znowu zbliżył się do mnie i rzekł: « Towarzysze moi i ja, nie zgadzamy się nad skutkami jakie powinny wyniknąć z łaskawie udzielonego mi przez ciebie Señor Caballero, objaśnienia. Towarzysze moi utrzymują że powinniśmy na niem poprzestać. Na nieszczęście jestem przeciwnego zdania, co tak dalece mnie martwi, że chcąc zapobiedz skutkom mego żalu, każdemu z osobna ofiarowałem im zadość uczynienie. Co się tyczy ciebie Señor Caballero, wyznaję że powinienbym udać się do Señora Busquera, ale śmiem utrzymywać, że sława jakiej tenże używa, w pojedynku z nim nie obiecuje mi żadnego zaszczytu. Z drugiej strony, Señor znajdowałeś się razem z Don Busquerem, nawet gdy ten śmiał się, spoglą-

dałeś na nas. Ztąd mniemam że bynajmniej nie nadając ważności tej sprawie, słusznem jest abyśmy zakończyli nasze wyjaśnienia tą samą szpadą którą każdy z nas ma przy boku.» Towarzysze kapitana z początku chcieli go przekonać że nie było o co bić się ani z niemi ani ze mną, ale wiedzieli z kim mieli do czynienia, przestali więc odradzać i jeden z nich ofiarował mi się za świadka.

Udaliśmy się wszyscy na plac boju. Zraniłem lekko kapitana ale w tej samej chwili odebrałem nad prawą piersią cios, który uczułem jak zakłucie szpilką. Wkrótce jednak zdjął mnie dreszcz śmiertelny i padłem bez zmysłów. —

Gdy cygan doszedł do tego miejsca swoich przygód, przerwano mu i musiał pójść zająć się sprawami hordy.

Kabalista obrócił się do mnie i rzekł: «Jeżeli się niemylę, officerem który zranił Señora Avadoro był właśnie twój ojciec.»

«Wcale się nie mylisz — odpowiedziałem — kronika pojedynków ułożona przez mego ojca, wspomina o tem i mój ojciec dodaje: że obawiając się niepotrzebnej kłótni z officerami, którzy nie podzielali jego zdania, tego samego dnia bił się z trzema i poranił ich.»

« Señor kapitanie — rzekła Rebeka — twój ojciec dał dowód niezwykłej przezorności. Obawa niepotrzebnej kłótni skłoniła go do pojedynkowania się cztery razy tego samego dnia. »

Żart ten jaki Rebeka pozwalała sobie względem mego ojca, nieskończenie mi się niepodobał i już chciałem jej coś odpowiedzieć, gdy w tem towarzystwo rozeszło się i zebrało dopiero nazajutrz.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY.

Wieczorem, cygan tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Wróciłem do zmysłów. Spostrzegłem że z obu rąk krew mi puszczano. Jak przezemgłę ujrzałem księżniczkę, księżnę Sidonię i Toledo, wszyscy mieli łzy w oczach. Znowu postradałem przytomność. Przez sześć tygodni, znajdowałem się w stanie podobnym do ciągłego snu a nawet do śmierci. Z obawy o mój wzrok, okiennice ciągle były zamknięte, podczas owijania zaś rany, zawiązywano mi oczy. Nareszcie pozwolono mi patrzyć i mówić. Lekarz mój, przyniósł mi dwa listy, pierwszy był od Toledo który donosił mi że wyjechał do Wiednia, ale z jakiemi poleceniami, tego nie mogłem odgadnąć. Drugi list był od księżniczki Davila, ale nie jej

charakterem pisany. Oznajmiała mi że przedsięwzięto poszukiwania przy ulicy Retardo i że nawet zaczęto szpiegować ją w jej własnym domu. Zniecierpliwiona nareszcie wyjechała do swoich majątków, lub też jak mówią w Hiszpanji, do swoich państw. Gdy przeczytałem oba listy, lekarz kazał zamknąć napowrót okienice i zostawił mnie własnym myślom. W istocie tym razem na dobre zacząłem się zastanawiać. Dotychczas, życie przedstawiało mi się jako ścieżka usłana kwieciem, teraz dopiero poczułem ciernie.

Po upływie piętnastu dni, pozwolono mi przejechać się w Prado. Chciałem wysiąść i przejść się ale zabrakło mi sił, usiadłem więc na ławce. Niebawem zbliżył się do mnie ten sam officer walloński który służył mi za świadka. Powiedział mi że przeciwnik mój przez cały czas mego niebezpieczeństwa był w najgwałtowniejszej rozpaczy i że błagał o pozwolenie uściskania mnie. Zgodziłem się; mój przeciwnik padł mi do nóg, przycisnął mnie do serca i odchodząc, rzekł głosem przerywanym łzami: «Señor Avadoro, daj mi sposobność pojedynkowania się za ciebie, będzie to najpiękniejszy dzień w mojem życiu.» Wkrótce potem, ujrzałem Señora Bus-

quera, który zbliżył się do mnie ze zwykłą bezczelnością i rzekł: «Kochany pasierbie, odebrałeś cokolwiek za ostrą naukę. Wprawdzie ja powinienem był ci ją udzielić, ale zapewne nie byłbym tak dobrze się znalazł.»

«Drogi ojczymie — odpowiedziałem — wcale nie skarżę się na ranę jaką mi zadał mężny officer. Ja także noszą szpadę i tylko pod warunkiem że coś podobnego może mi się wydarzyć. Co zaś do twojego w tym względzie przyczynienia się, mniemam że należałoby je wynagrodzić, porządnie kijem garbując ci skórę.»

«Zwolna kochany pasierbie — przerwał Busqueros — ta ofiara kijów wcale nie jest obowiązującą, zwłaszcza w obecnej chwili wychodzi nawet z prawideł grzeczności. Od czasu naszego rozstania zostałem ważnym człowiekiem, niby podministrem drugiego rzędu. Muszę ci to opowiedzieć z pewnemi szczegółami.

«Jego eminencya kardynał Porto-Careiro, widząc mnie kilka razy w orszaku księcia d' Arcos, raczył uśmiechnąć się ze szczególniejszą łaskawością. To ośmieliło mnie do składania mu mego uszanowania w dniach posłuchalnych. Pewnego dnia, jego eminen-

cya zbliżyła się ku mnie i rzekła półgłosem: «Wiem mości Busqueros że jesteś jednym z ludzi najlepiej świadomych wszystkiego co się dzieje w mieście.» Na to odpowiedziałem z dziwną przytomnością umysłu:

«Wasza eminencyo, Wenecyanie którzy uchodzą za nie złych rządców swym krajem, kładą tę świadomość w liczbę niezbędnych dla każdego człowieka chcącego trudnić się sprawami państwa.»

«I mają słuszność — dodał kardynał — poczem pomówił jeszcze z kilkoma osobami i odszedł. W kwadrans potem marszałek dworu zaczepił mnie mówiąc: «Señor Busqueros, jego eminencya, poleciła mi abym zaprosił cię na obiad i o ile mi się zdaje, po obiedzie chce nawet z tobą pomówić. Uprzedzam cię jednak Señor, abyś w takim razie zbyt nie przedłużał rozmowy, gdyż jego eminencya dużo je i następnie od snu wstrzymać się nie może.»

«Podziękowałem marszałkowi za przyjacielską radę i zostałem na obiedzie wraz z kilkunastoma innymi spółbiesiadnikami.

«Kardynał prawie sam zjadł całego szczupaka. Po obiedzie kazał mnie przywołać do swego gabinetu: «No, cóż Señor Don Bus-

queros — rzekł — niedowiedziałżeś się w tych dniach czego zajmującego? » Zapytanie kardynała mocno mnie zmieszało, gdyż w istocie ani tego dnia ani poprzednich nic nie odkryłem zajmującego. Zastanowiwszy się jednak przez chwilę odpowiedziałem: « Wasza eminencyo, w tych dniach dowiedziałem się o istnieniu dziecięcia z krwi austryackiej. »

Kardynał nadzwyczajnie się zdziwił. « Tak jest — dodałem — wasza eminencya przypomina sobie że książe Davila połączony był tajemnym związkiem z infantką Beatą.

« Pozostała po nim z tego związku córka nazwiskiem Leonora, która poszła za mąż i miała dziecie. Leonora umarła, pochowano ją w klasztorze Urszulinek. Widziałem jej nagrobek który poźniej znikł bez żadnego śladu.

« To będzie mogło wielce zaszkodzić Davilom i Sorientom — rzekł kardynał. — Jego eminencya byłaby może więcej mówiła, ale szczupak przyśpieszył chwilę snu, uznałem więc za stosowne wynieść się. Wszystko to działo się przed trzema tygodniami. W istocie kochany pasierbie, nie ma już tam nagrobka gdzie go wprzódy widziałem. Przecież wyraźnie na nim czytałem. « Tu leży

Leonora Avadoro.» Wstrzymałem się od wymienienia cię przed jego eminencyą, nie dla tego abym chciał dochować ci tajemnicy, ale na poźniej odłożyłem to doniesienie.»

Lekarz, towarzyszący mi na przechadzce, oddalił się był o kilka kroków. Nagle spostrzegł że bladłem i byłem blizkim postradania przytomności. Powiedział Busquerowi że obowiązek jego zmuszał go do przerwania rozmowy i odprowadzenia mnie do domu. Wróciłem więc. Lekarz przepisał mi chłodzący napój i kazał przymykać okiennice. Naówczas oddałem się rozmyślaniom, niektóre uwagi upokorzyły mnie do najwyższego stopnia.

«Otóż to — mówiłem w duchu — tak zawsze wychodzi, kto przestaje z wyższymi od siebie. Księżniczka zawiera ze mną małżeństwo które nic niema w sobie rzeczywistego i dla jakiejś wymarzonej Leonory, popadam w podejrzenie rządu i muszę słuchać plotek człowieka którym pogardzam. Z drugiej strony, nie mogę usprawiedliwić się nie zdradzając księżniczki, która zbyt jest dumną aby kiedykolwiek przyznać się do mnie chciała.»

Następnie zamarzyłem o maleńkiej, dwuletniej Manueli którą tuliłem do łona w So-

riente a której nie śmiałem nazwać moją córką. « Lube moje dziecie — zawołałem — jakąż przyszłość los ci gotuje? Może klasztor? — ale nie, ja jestem twoim ojcem i gdy będzie chodziło o twoje przeznaczenie, potrafię zaprzeć się wszelkiej ludzkiej przezorności. Ja będę twoim opiekunem, chociażbym miał własnem życiem to przypłacić. »

Myśl o mojem dziecięciu, rozrzewniła mnie, zalałem się łzami i wkrótce potem krwią, gdyż rana mi się otworzyła. Krzyknąłem na chirurgów, przewinięto mi ją na nowo, poczem napisałem do księżniczki i posłałem list przez jednego z jej służących, którego przy mnie była zostawiła.

We dwa dni potem, znowu udałem się do Prado. Do koła ujrzałem zgiełk niezwykły. Powiedziano mi że król konał. Wniosłem ztąd że może zapomną o mojej sprawie, jakoż nie pomyliłem się. Król umarł nazajutrz. Natychmiast wysłałem drugiego gońca dla zawiadomienia o tem księżniczkę.

We dwa dni, odczytano dość powszechnie testament królewski i dowiedziano się że Don Phelipe Andegaweński został powołanym na tron. Umiano ściśle dochować tajemnicy, tak że wieść ta rozszedłszy się od razu niewy-

mownie wszystkich zadziwiła. Wysłałem do księżniczki trzeciego gońca. Odpowiedziała mi odrazu na moje trzy listy i naznaczyła spotkanie w Soriente. Jak tylko poczułem się nieco na siłach, wyjechałem do Soriente, dokąd we dwa dni poźniej przybyła księżniczka. «Szczęśliwie udało nam się wywinąć — rzekła do mnie — ten łotr Busqueros był już na prawdziwej drodze i skończyłby niezawodnie na odkryciu naszego małżeństwa. Byłabym umarła ze zmartwienia. Bezwątpienia, czuję że niemam słuszności, ale gardząc małżeństwem, zdaje mi się że wznoszę się nad naszą płeć a nawet i nad waszą. Nieszczęśliwa duma owładnęła moją duszą i chociażbym na znękanie jej, wszystkich sił użyła, przysięgam ci że nie upadnę.»

«A córka twoja — przerwałem — jakiż będzie jej los? Czyliż mam jej nigdy nie widzieć?»

«Ujrzysz ją — rzekła księżniczka — ale teraz mi o niej nie wspominaj. Wierzaj mi że więcej niż możesz sobie wyobrazić, cierpię na tej konieczności ukrywania jej przed światem.» W istocie księżniczka cierpiała, do moich jednak cierpień dodawała jeszcze upokorzenie. Z mojej strony, duma także złączyła

się z miłością jaką miałem ku księżniczce. Za grzech, odbierałem zasłużoną karę.

Stronnictwo austryackie, naznaczyło Soriente na miejsce ogólnej schadzki. Ujrzałem kolejno przybywających: księcia Oropesę, księcia Infantado, hrabiego Melzara i wiele innych znakomitych osób, że już takich nie wymieniam którzy nie tylko że nie znakomitemi ale nawet wydawali się podejrzanemi. Pomiędzy temi ostatniemi spostrzegłem niejakiego Uzedę, który udawał się za astrologa i usilnie wpraszał do mojej przyjaźni.

Nareszcie przybył pewien Austryak nazwiskiem Berleps, ulubieniec królowej dożywotniczki i zastępca posła od chwili wyjazdu hrabiego Harracha.

Kilka dni przepędzono na naradach, nakoniec otworzono uroczyste posiedzenie około wielkiego stołu, przykrytego zielonem suknem. Księżniczka została przypuszczoną i przekonałem się że duma, a raczej chęć wmieszania się do spraw państwa, zupełnie owładnęła jej umysłem.

Książe Oropesa, zwracając się do Berlepsa rzekł: «Widzisz tu Señor zebrane osoby, z któremi ostatni ambassador austryacki naradzał się względem spraw hiszpańskich. Nie

jesteśmy ani Francuzami ani Austryakami, ale Hiszpanami. Jeżeli król francuzki przyjmie testament, jego wnuk bezwątpienia zostanie naszym królem. Nie przewidujemy wypadków jakie okoliczności mogą sprowadzić, ale mogę zaręczyć że żaden z nas nie rozpocznie wojny domowej.»

Berleps zapewnił że cała Europa się uzbroi, i że nigdy nie scierpi aby rodzina Burbonów, obejmowała władzę nad tak rozległemi państwami. Następnie zażądał aby panowie należący do stronnictwa austryackiego, wysłali do Wiednia upoważnionego od nich pełnomocnika. Książe Oropesa zwrócił oczy na mnie i już myślałem że mnie przedstawi, ale zamyślił się i odpowiedział, że nienadeszła jeszcze pora do przedsiębrania tak stanowczego kroku.

Berleps oznajmił że zostawi kogoś w kraju, wreszcie z łatwością spostrzegał że panowie obecni na tem posiedzeniu, czekali tylko chwili do otwartego wystąpienia.

Po skończonem posiedzeniu, poszedłem do ogrodu złączyć się z księżniczką i opowiedziałem jej jak książe Oropesa spojrzał na mnie gdy chodziło o wysłanie pełnomocnika do Austryi. «Señor Don Juanie — rzekła —

wyznaję że mówiliśmy już o tobie w tym względzie i że sama cię nawet przedstawiałam. Masz ochotę wyrzucać mi moje postępowanie, niema co mówić, jestem winną, ale wprzódy pragnę wytłumaczyć ci moje położenie. Nie byłam stworzoną do miłości, twoja jednak potrafiła wzruszyć moje serce. Za nim miałam na zawsze porzucić roskosze miłości, chciałam wprzódy je poznać. Cóż powiesz? nie zmieniły one w niczem mego sposobu myślenia. Prawa jakie ci nadałam nad mojem sercem i moją osobą, jakkolwiek słabe, nie mogą już istnieć. Zatarłam najmniejsze ich ślady. Zamierzam teraz, przepędzić kilka lat w świecie, i jeżeli można, wpłynąć na losy Hiszpanji. Następnie założę zakon szlacheckich panien, którego sama będę pierwszą ksienią. Co się tyczy ciebie, Señor Don Juanie, pojedziesz do przeora Toledo, który opuścił już Wiedeń i udał się na Maltę. Ponieważ jednak stronnictwo w jakie weszłeś, mogłoby cię narazić, kupuję przeto cały twój majątek i zabezpieczam jego wartość na moich dobrach w Portugalji, w królestwie Algarbji. Nie jestto jedyna ostrożność, Señor Don Juanie, jaką powinieneś przedsięwziąść.

Są w Hiszpanji miejsca, nieznane od rządu, gdzie bezpiecznie od poszukiwań, można całe życie przepędzić. Polecę cię komuś, który da ci je poznać. Słowa moje zdają się zadziwiać cię Señor Don Juanie? Dawniej, okazywałam ci większą czułość, ale zatrwożyły mnie szpiegostwa Busquera i zamiar mój jest niecofnionym.»

To powiedziawszy, księżniczka zostawiła mnie własnym uwagom, które wcale nie sprzyjały wielkim panom. «Bogdaj przepadli, — zawołałem — półbożkowie tej ziemi, dla których reszta śmiertelnych jest niczem. Zostałem igraszką kobiety, która próbowała na mnie, czy jej serce stworzonem jest do miłości, i która nareszcie wskazuje mnie na wygnanie, znajdując mnie zbyt szczęśliwym że mogę poświęcić się jej własnej i przyjacioł jej sprawie! Ale nic z tego nie będzie. Dzięki mojej małoważności, będę jeszcze mógł żyć w spokoju.»

Wymówiłem ostatnie wyrazy dość głośno, gdy w tem jakiś głos mi odpowiedział: «Nie, Señor Avadoro, ty nie możesz żyć w spokoju.» Obróciłem się i ujrzałem między drzewami tego samego astrologa Uzedę, o którym wam już wspomniałem. «Señor Don

Juanie — rekł do mnie — słyszałem pewną część twego monologu i mogę cię zapewnić że w burzliwych czasach, nikt spokoju znaleźć nie zdoła. Zasłania cię można opieka, nie powinieneś jej marnować. Jedź do Madrytu, dopełnij sprzedaży ofiarowanej ci przez księżniczkę i ztamtąd udaj się do mego zamku.»

«Nie wspominaj mi o księżniczce,» przerwałem oburzony.

«Dobrze więc — rzekł astrolog — w takim razie pomówimy o twojej córce, która w tej chwili, znajduje się w moim zamku.»

Chęć uściskania mego dziecięcia, uśmierzyła mój gniew, z drugiej zaś strony, rzeczywiście, nie należało mi porzucać moich opiekunów. Udałem się do Madrytu i oświadczyłem że wyjeżdżam do Ameryki. Oddałem mój dom i wszystko co posiadałem w ręce prawnika księżniczki i wybrałem się w drogę ze służącym którego mi nastręczył Uzeda. Ten, przez różne manowce zaprowadził mnie do jego zamku w którym byliście i gdzieście poznali syna jego, obecnego tu szanownego kabalistę. Astrolog przyjął mnie u bramy i rzekł: «Señor Don Juanie, tu, nie jestem już Uzedą, ale Mammonem Ben Gerszon, żydem

z religji i pochodzenia. Następnie, oprowadził mnie po swojem obserwatoryum, pracowni i wszystkich kątach swego tajemniczego mieszkania.»

«Racz mi objaśnić — rzekł do niego — czyli twoja sztuka zasadza się na czemś rzeczywistem? powiedziano mi bowiem że jesteś astrologiem a nawet czarnoksiężnikiem.»

«Chcesz zobaczyć próbę? — przerwał Mammon — spojrzyj w to weneckie zwierciadło, ja tymczasem pójdę zamknąć okienice.» Z początku nic nie spostrzegłem, po chwili jednak tło zwierciadła zdawało się zwolna oświecać. Ujrzałem księżniczkę Manuelę z dziecięciem na ręku. —

Gdy cygan kończył te słowa i wszyscy natężaliśmy słuch, ciekawi co się dalej stanie, jeden z jego hordy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności.

Oddalił się i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY.

Nazajutrz, zniecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru. Cygan zastał nas już od dawna razem zebranych. Zadowolony z zajęcia jakie mu okazywaliśmy, nie dał się nawet prosić i sam zaczął mówić w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Powiedziałem wam że utkwiłem wzrok w weneckie zwierciadło i spostrzegłem w niem księżniczkę z dziecięciem na ręku. Po chwili, widzenie znikło, Mammon otworzył okienice i wtedy mu rzekłem: «Mości czarnoksiężniku, mniemam że do oczarowania mego wzroku, niepotrzebowałeś spółuczestnictwa złych duchów. Znam księżniczkę, już ona raz mnie oszukała w sposób daleko bardziej zadziwiający. Jednem słowem jeżeli jej obraz widzia-

łem w zwierciedle, nie wątpię że ona sama także znajduje się w tym zamku.»

«Nie mylisz się — odparł Mammon — i natychmiast pójdziemy do niej na śniadanie.» Otworzył skryte drzwiczki i padłem do nóg mojej małżonki, która nie mogła ukryć swego wzruszenia. Nareszcie przyszła do siebie i rzekła: «Don Juanie, należało raz to wszystko ci wypowiedzieć o czem mówiłam w Soriente, gdyż to była prawda. Zamiary moje są niecofnione. Wszelako po twoim odjeździe, wyrzucałam sobie moją nieczułość. Instynkt mojej płci wrodzony, wzdryga się na każde postępowanie, w któremby można brak serca upatrzyć. Powodowana nim, postanowiłam tu czekać na ciebie i raz ostatni się z tobą pożegnać.»

«Pani — odrzekłem księżniczce — ty byłaś jedynem marzeniem mego życia i ty mi zastąpisz wszelką rzeczywistość. W przyszłych kolejach twego przeznaczenia, zapomnij na wieki o Don Juanie. Przystaję na to, ale pomnij że zostawiam dziecie moje przy tobie.»

«Wkrótce je ujrzysz — przerwała księżniczka — i oboje razem powierzymy je tym, którzy mają zająć się jego wychowaniem.»

Cóż mam wam powiedzieć, zdawało mi się naówczas, i w tej chwili jeszcze mi się zdaje, że księżniczka miała słuszność. W istocie, mógłżem żyć z nią, będąc i nie będąc jej mężem? Jeżeli zdołaliśmy ujść przed przenikliwością ogółu, nie bylibyśmy uniknęli wzroku naszych służących, a wtedy tajemnica byłaby niepodobną do zachowania. Naówczas nie ma wątpliwości że cały los księżniczki byłby się zmienił, zdawało mi się więc że słuszność była z jej strony. Poddałem się zatem i wkrótce miałem ujrzeć moją małą Ondynę. Tak ją bowiem nazwano z powodu że była tylko chrzczoną z wody nie zaś z oleju.

Zeszliśmy się razem na obiad. Mammon rzekł do księżniczki: « Pani, sądzę że należałoby uwiadomić Señora o pewnych rzeczach o których musi się dowiedzieć, i jeżeli podzielasz moje zdanie, ja się tego podejmę. »

Księżniczka przystała. Naówczas Mammon obracając się do mnie, temi słowy się odezwał: « Señor Don Juanie, depcesz tu niedocieczoną dla zwyczajnego wzroku ziemię, gdzie każdy ma jakąś tajemnicę do strzeżenia. W pasmie tych gór znajdują się obszerne jaskinie i podziemia. Tam żyją Maurowie któ-

rzy od czasów wygnania ich z Hiszpanji, nigdy z nich nie wychodzili. W tej oto dolinie rozciągającej się przed twemi oczyma, zobaczysz mniemanych cyganów z których jedni są mahometanami, drudzy chrześcijanami, ostatni wreszcie żadnej nie wyznają wiary. Na szczycie tej skały, widzisz dzwonnicę z krzyżem na wierzchu. Jestto klasztor Dominikanów. Inkwizycya święta ma powody dla których przez szpary patrzy na to co się tutaj dzieje, Dominikanie zaś obowiązani są nic nie widzieć. Dom w którym się znajdujesz zamieszkują Izraelici. Co siedm lat, żydzi hiszpańscy i portugalscy zgromadzają się tu dla święcenia roku sabbatowego, obecnie będącego czterechsetną trzydziestą ósmą rocznicą jubileuszu jaki odprawił Jozue. Powiedziałem ci Señor Avadoro, że pomiędzy cyganami z doliny, jedni są mahometanami drudzy chrześcijanami, inni nareszcie żadnej nie wyznają wiary. W istocie ci ostatni są to poganie pochodzący od Kartagińczyków. Za panowania Don Phelipa II., spalono kilkaset takich rodzin, niektóre tylko schroniły się około małego jeziora, utworzonego, jak mówią, przez wybuch wulkanu. Dominikanie z tego klasztoru, mają tam swoją kaplicę.

« Oto jest tymczasem Señor Avadoro, co wymyśliliśmy względem małej Ondyny, która nigdy nie dowie się o swojem pochodzeniu. Ochmistrzyni, kobieta całkiem oddana księżniczce, uchodzi za jej matkę. Wybudowano dla niej piękny domek na brzegach jeziora; Dominikanie z klasztoru, udzielą jej pierwszych zasad religji. Resztę pozostawiamy staraniom Opatrzności. Nikt z osób zajmujących się, nie będzie mógł zwiedzać brzegów jeziora Lafrito. »

Podczas tej mowy, księżniczka uroniła kilka łez, ja zaś niemogłem wstrzymać się od płaczu. Nazajutrz udaliśmy się do tego samego jeziora około którego teraz się znajdujemy i umieściliśmy małą Ondynę. Następnego dnia, księżniczka odzyskała dawną dumę i wyniosłość i wyznam, że pożegnanie nasze nie było nader rozczulającem. Nie zatrzymując się dłużej w zamku, wsiadłem na statek, wylądowałem w Sycylji i ugodziłem się z patronem Speronara, który podjął się zawieźć mnie na Maltę. Wysiadłem do przeora Toleda, szlachetny mój przyjaciel czule mnie uściskawszy, wprowadził do osobnego pokoju i drzwi zamknął na klucz. W półgodziny, marszałek przeora przyniósł mi obfity posiłek,

nad wieczorem zaś sam Toledo przyszedł, niosąc pod pachą wielką plikę listów, lub też co w polityce nazywają, depesze. Nazajutrz wracałem już z poselstwem do arcyksięcia Don Carlosa. Zastałem jego cesarzowiczowską mość w Wiedniu. Skoro tylko oddałem mu depesze, natychmiast zamknięto mnie w osobnym pokoju, tak samo jak w Malcie. Po upływie godziny, sam arcyksiąże przyszedł do mnie, zaprowadził do cesarza i rzekł: «Mam zaszczyt przedstawienia waszej cesarsko-apostolskiej mości, margrabiego Castelli, szlachcica sardyńskiego i zarazem upraszania dla niego o klucz szambelański.»

Cesarz Leopold, nadając swojej dolnej wardze jak najłagodniejszy wyraz, zapytał mnie po włosku, od jak dawna opuściłem Sardynyą?

Niebyłem przyzwyczajony do rozmawiania z monarchami a jeszcze mniej do kłamstwa, za całą więc odpowiedź, skłoniłem się głęboko. «To dobrze — rzekł cesarz — przyłączam WPana do świty mego syna.» Tym sposobem od razu, chcąc nie chcąc, zostałem margrabią Castelli i szlachcicem sardyńskim.

Tego samego wieczora, dostałem nadzwyczajnego bólu głowy, nazajutrz gorączki, we dwa dni zaś potem, ospy. Zaraziłem się nią

w jednej gospodzie w Karyntyi. Choroba moja była gwałtowną i nader niebezpieczną, wyleczyłem się jednak i to nie bez korzyści; margrabia Castelli bowiem, w niczem nie był podobnym do Don Avadora i zmieniając nazwisko, zmieniłem zarazem i powierzchowność.

Teraz mniej niż kiedykolwiek poznano by we mnie tę samą Elwirę, która niegdyś miała zostać wicekrólową Mexyku.

Skoro tylko wróciłem do zdrowia, wnet powierzono mi korrespondencyę z Hiszpanią.

Tymczasem Don Phelipe Andegaweński królował nad Hiszpanią i Indyami a nawet nad sercami swoich poddanych. Ale właśnie w takich chwilach, niepojmuję jaki szatan, miesza się do książąt i ich spraw. Król Don Phelipe i królowa jego małżonka stali się niejako pierwszymi poddanymi księżnej Ursini. Nadto, do rady państwa przypuszczono posła francuzkiego kardynała d' Estrées, co do najwyższego stopnia oburzyło Hiszpanów. Z drugiej strony, król francuzki Ludwik XIV., myśląc że wszystko mu wolno, osadził Mantuę załogą francuzką. Wtedy arcyksiąże Don Carlos, powziął nadzieję panowania.

Było to w samym początku r. 1703, gdy

pewnego wieczora arcyksiąże rozkazał mnie przywołać. Postąpił kilka kroków naprzeciw mnie, raczył mnie objąć a nawet czule uścisnąć. Przyjęcie to zapowiadało mi coś nadzwyczajnego. « Castelli — rzekł arcyksiąże — nieodebrałżeś żadnych wiadomości od przeora Toleda? » Odpowiedziałem, że dotąd żadnych nie miałem. « Był to znakomity człowiek, » dodał po chwili arcyksiąże.

« Jakto — był? » przerwałem.

« Tak jest — odparł arcyksiąże — był; przeor Toledo umarł w Malcie na zgniłą gorączkę, ale znajdziesz we mnie drugiego Toleda. Opłakuj twego przyjaciela i bądź mi wiernym. » Opłakałem rzewnemi łzami stratę mego przyjaciela i pojąłem, że teraz nie potrafię już przestać być Castellim. Mimowolnie stałem się niewolniczem narzędziem arcyksięcia.

Następnego roku, udaliśmy się do Londynu. Ztamtąd arcyksiąże obrócił drogę na Lizbonę, ja zaś pojechałem złączyć się z wojskiem Lorda Peterborough, którego, jak to wam już mówiłem, miałem był niegdyś zaszczyt poznania w Neapolu. Byłem z nim razem gdy zmuszając Barcelonę do poddania się, dał poznać swój charakter szlachetnym

czynem powszechnie w ówczas sławionym. Podczas kapitulacyi, niektóre oddziały wojska sprzymierzonego weszły do miasta i rabowały je. Książe Popoli, który w ówczas dowodził w imieniu króla Don Phelipa, żalił się na to przed lordem. « Pozwól mi na chwilę wejść do miasta z mymi Anglikami — rzekł Peterborough — a zaręczam że wszystko przyprowadzę do porządku. » Uczynił jak powiedział, poczem opuścił miasto i udzielił mu zaszczytną kapitulacyę.

Wkrótce potem arcyksiąże, zawładnąwszy prawie całą Hiszpanią, przybył do Barcelony. Wróciłem do mego miejsca przy nim, zawsze pod nazwiskiem margrabiego Castelli. Pewnego wieczora, przechodząc się w świcie arcyksięcia po głównym placu, spostrzegłem człowieka, którego chód raz wolny to znowu przyspieszony, przypomniał mi Don Busquera. Kazałem go śledzić. Doniesiono mi że był to jakiś człowiek z fałszywym nosem, który kazał nazywać się doktorem Robusti. Niewątpiłem na chwilę że to był mój łotr, który w celu szpiegowania nas wcisnął się do miasta.

Opowiedziałem to arcyksięciu, który upoważnił mnie do postąpienia z nim jak mi się tylko podoba. Naprzód więc, kazałem zam-

knąć niegodziwca na odwachu, następnie w godzinie parady, ustawiłem od odwachu aż do portu dwa rzędy grenadyerów, uzbroiwszy wprzódy każdego giętkim brzozowym prętem. Jeden od drugiego stał w odległości nie zawadzającej wolnym poruszeniom prawej ręki. Don Busqueros, wychodząc z odwachu, poznał że te przygotowania jego się dotyczyły i że był, jak to mówią, królem tej uroczystości. Puścił się więc z całej siły unikając tym sposobem połowy razów, wszelako dostał ich przynajmniej ze dwieście. W porcie, wpadł do szalupy która go zawiozła na pokład fregaty, gdzie dozwolono mu zająć się leczeniem swego grzbietu. —

Czas, było zająć się sprawami hordy, cygan nas opuścił, zostawując dalsze przygody na dzień następny.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY.

Cygan nazajutrz tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Od dziesięciu lat zostawałem ciągle przy boku arcyksięcia. Smutnie upłynęły mi najpiękniejsze lata mego życia, chociaż wprawdzie nie weselej one upływały dla reszty Hiszpanów. Zaburzenia zdawały się codzień kończyć, nigdy jednak nie kończyły. Stronnicy Don Phelipa rozpaczali nad jego słabością do księżnej Ursini, partya zaś Don Carlosa także nie miała z czego się cieszyć.

Oba stronnictwa popełniły mnóstwo błędów, uczucie zmęczenia i niechęci było powszechnem.

Księżniczka Davila, przez długi czas będąc duszą stronnictwa austryackiego, byłaby może przeszła na stronę Don Phelipa, ale raziła

ją niepohamowana duma księżnej Ursini. Nareszcie ta ostatnia musiała na jakiś czas opuścić widownię swoich czynności i oddalić się do Rzymu, wkrótce jednak powróciła bardziej tryumfująca niż kiedykolwiek. Wtedy księżniczka Davila wyjechała do Algarbji i zajęła się fundacyą swego klasztoru. Księżna Sidonia kolejno straciła córkę i zięcia. Ród Sidoniów ostatecznie wygasł, majątki przeszły do rodziny Medina-Celi, księżna zaś wyjechała do Andaluzyi.

Roku 1711 arcyksiąże wstąpił na tron po swoim bracie Józefie, i został cesarzem pod nazwiskiem Karola VI. Zazdrość Europy, zamiast na Francyą, zwróciła się całkiem na arcyksięcia. Niechciano aby Hiszpania była pod jednem berłem z Węgrami. Austryacy opuścili Barcelonę i zostawili w niej margrabiego Castelli, w którym mieszkańcy pokładali nieograniczone zaufanie. Nieszczędziłem wszelkich starań aby ich tylko przyprowadzić do rozsądku, ale zabiegi moje pokazały się bezskutecznemi. Niepojmuję jaka wściekłość owładnęła umysłami katalończyków, sądzili że potrafią stawić czoło całej Europie.

Śród tych wypadków, odebrałem list od księżniczki Davila. Podpisywała się już ksie-

nią z Val-Santa. List zawierał te jedynie wyrazy: «Jak tylko będziesz mógł, jedź do Uzedy i staraj się widzieć Ondynę. Wprzódy jednak nie zaniechaj pomówić z przeorem Dominikanów.» Książe Popoli, naczelny wódz wojsk króla Don Phelipa, obległ Barcelonę. Przedewszystkiem, kazał wznieść szubienicę na dwadzieścia pięć stóp wysoką, przeznaczoną dla margrabiego Castelli.

Zebrałem znaczniejszych mieszkańców Barcelony i rzekłem do nich: «Panowie, umiem cenić zaszczyt jaki mi sprawia wasze we mnie zaufanie, ale nie jestem wojskowym a tem samem nie zdam się na waszego dowódzcę. Z drugiej strony, jeżeli kiedykolwiek będziecie zmuszeni do kapitulacyi, za pierwszy warunek położą wam wydanie mnie, co bezwątpienia będzie dla was nader draźliwem. Lepiej zatem abym się z wami pożegnał i na zawsze was opuścił.» Gdy lud raz wpadnie na drogę niedorzeczności, chętnie naówczas pociąga za sobą jak najwięcej indywiduów i sądzi że wiele zyska na odmówieniu paszportu. Nie pozwolono mi zatem wyjechać, ale zamiar mój oddawna już był przygotowanym. Zamówiona łódź oczekiwała mnie na brzegu; o północy wsiadłem

w nią i nazajutrz wieczorem wylądowałem w Florianie, rybackiej wiosce w Andaluzyi.

Nagrodziwszy hojnie majtków, odesłałem ich, sam zaś zapuściłem się w góry.

Długo nie mogłem rozpoznać drogi, nareszcie wynalazłem zamek Uzedy i samego właściciela, który pomimo astrologji z trudnością zdołał mnie sobie przypomnieć. « Señor Don Juanie — rzekł — lub raczej Señor Castelli, twoja córka jest zdrową i niewypowiedzianie piękną. Co do reszty, rozmówisz się z przeorem Dominikanów. »

We dwa dni potem, ujrzałem przybywającego sędziwego zakonnika, który rzekł do mnie: « Señor Caballero, święta inkwizycya której jestem członkiem, mniema że na wiele rzeczy w tych górach powinna patrzyć przez szpary. Czyni to w nadziei nawrócenia obłąkanych owieczek w znacznej liczbie tu się znajdujących. Przykład ich, wywarł na młodą Ondynę, zgubne skutki. Wreszcie jestto dziewczyna dziwnego sposobu myślenia. Gdyśmy ją nauczali zasad świętej naszej wiary, słuchała z uwagą i nie dawała poznać żadnego wątpienia; po chwili jednak uczestniczyła w modlitwach mahometańskich, a nawet przy uroczystościach pogan. Idź Señor Caballero

do jeziora Lafrito i ponieważ masz do niej prawo, staraj się zbadać jej serce.»

Podziękowałem szanownemu dominikanowi i udałem się na brzegi jeziora. Przybyłem przez przylądek położony od północy. Ujrzałem żagiel przesuwający się po wodzie z szybkością błyskawicy. Zacząłem podziwiać budowę statku. Była to łódka wązka i długa, nakształt łyżwy, opatrzona dwoma drągami których przeciw waga chroniła od wywrotu. Silny maszt, utrzymywał trój kątny żagiel, młoda zaś dziewczyna wsparta na wiosłach, zdawała się ulatywać i muskać powierzchnią wód. Szczególny ten statek przybił do miejsca na którem stałem. Młoda dziewczyna wysiadła, miała ramiona i nogi obnażona, zielona jedwabna suknia przylegała jej do ciała, włosy spadały w bujnych pierścieniach na śnieżną szyję, niekiedy wstrząsała niemi jak grzywą. Widok ten, przypomniał mi dzikich mieszkańców Ameryki. «Ach Manuelo — zawołałem. — Manuelo, taż to jest nasza córka?!» W istocie była to ona. Udałem się do jej mieszkania. Ochmistrzyni Ondyny od kilku lat już była umarła, wtedy księżniczka sama przyjechała i powierzyła córkę pewnej rodzinie wallońskiej. Ondyna

wszelako nie chciała uznawać żadnej władzy nad sobą. W ogóle, mało mówiła, drapała się na drzewa, czepiała po skałach i rzucała w jezioro. Z tem wszystkiem nie brakowało jej na pojętności; tak naprzykład, sama wynalazła ten powabny statek, który przed chwilą wam opisywałem. Jeden tylko wyraz zmuszał ją do posłuszeństwa. Było to wspomnienie o jej ojcu, i gdy chciano aby co uczyniła, wtedy rozkazywano jej w imieniu ojca. Skoro przybyłem do mieszkania, natychmiast postanowiono ją zawołać. Przyszła cała drżąca i uklękła przedemną. Przycisnąłem ją do serca, okryłem pieszczotami, ale nie mogłem z niej wydobyć ani jednego słowa.

Po obiedzie, Ondyna odeszła znowu do swej łodzi, wsiadłem razem z nią, pochwyciła oba wiosła i wypłynęła na środek jeziora. Starałem się wszcząć z nią rozmowę, naówczas położyła wiosła i zdawała się słuchać mnie z uwagą. Znajdowaliśmy się na wschodniej części jeziora, tuż około otaczających je stromych skał. « Droga Ondyno — rzekłem — uważałażeś pilnie na święte nauki ojców z klasztoru. Ondyno, jesteś przecie istotą rozumną, masz duszę i religia powinna przewodniczyć ci na drodze życia. » Gdy tak

w najlepsze zabrałem się do udzielania jej ojcowskich przestróg, nagle Ondyna wskoczyła do wody i znikła z moich oczu. Trwoga mnie zdjęła, czemprędzej powróciłem do mieszkania i zacząłem wołać o pomoc. Odpowiedziano mi że niemiałem się czego obawiać, że wzdłuż skał były jaskinie, czyli sklepienia łączące się między sobą. Ondyna znała te przejścia, zanurzała się, znikała i w kilka godzin potem wracała. W istocie wkrótce powróciła, ale tym razem zaniechałem już moich przestróg. Ondynie, jak to już mówiłem, nie brakowało na pojętności, ale wychowana w pustyni, zostawiona samej sobie nie miała żadnego wyobrażenia o stosunkach towarzyskich. Po kilku dniach, jakiś braciszek klasztorny, przyszedł do mnie od księżniczki, czyli raczej od ksieni Manueli. Miał mi dać habit podobny do swego i do niej zaprowadzić. Szliśmy wzdłuż brzegu morskiego aż do ujścia Guadiany, zkąd dostaliśmy się do Algarbji i przybyli wreszcie do Val-Santa. Klasztor był już na dokończeniu. Ksieni przyjęła mnie w klauzurze ze zwykłą godnością, odesławszy jednak świadków, niemogła wstrzymać się od rozczulenia. Rozwiały się marzenia jej dumy, zo-

stały tylko tęskne żale za niepowróconemi uczuciami miłości. Chciałem mówić jej o Ondynie; ksieni z westchnieniem prosiła mnie abym odłożył tę rozmowę na dzień następny. « Mówmy o tobie — rzekła mi — przyjaciele twoi nie zapomnieli o twoim losie. Twój majątek podwoił się w ich rękach; ale idzie o to, pod jakiem nazwiskiem będziesz mógł go używać, niepodobna bowiem abyś dłużej chciał uchodzić za margrabiego Castelli. Król nie przebacza tym którzy należeli do powstania w Katalonji. » Długo rozmawialiśmy o tym przedmiocie, niemogąc na nic stanowczego się zgodzić. W kilka dni potem, Manuela, oddała mi tajemniczo list odebrany od posła austryackiego. Pismo zawierało pochlebne wyrazy zapraszające mnie do Wiednia. Wyznam że mało rzeczy w życiu równie mnie uszczęśliwiło. Gorliwie służyłem cesarzowi i wdzięczność jego dla mnie wydała mi się najsłodszą nagrodą.

Wszelako, nie dałem się omamić łudzącym nadziejom, znałem dobrze dworskie zwyczaje. Pozwalano mi być w łasce u arcyksięcia który napróżno dobijał się o tron, ale nie mogłem spodziewać się aby mnie ścierpiano przy boku najpierwszego monar-

chy chrześcijaństwa. Obawiałem się nadewszystko pewnego pana austryackiego, który zawsze usiłował mi szkodzić. Był to ten sam hrabia Altheim, który poźniej nabrał takiej przewagi. Pomimo to, udałem się do Wiednia i uściskałem kolana jego apostolskiej mości, cesarz raczył rozważać zemną: czyliby nie lepiej było zostać przy dawnem nazwisku Castelli aniżeli wracać, do swojego i ofiarował mi znaczny urząd w swojem państwie. Dobroć jego mnie rozrzewniła, ale skryte przeczucie ostrzegało mnie że nie będę z niej korzystał. W owym czasie, kilku panów hiszpańskich porzuciło na zawsze ojczyznę i osiedliło się w Austryi. Między niemi byli, hrabiowie Lorrios, Oias, Vasquez, Taruca i kilku innych. Znałem ich dobrze i wszyscy namawiali mnie abym poszedł za ich przykładem. Był to także mój zamiar; ale skryty nieprzyjaciel, o którym wam wspominałem, nie zasypiał tymczasem. Dowiedział się o wszystkiem co zaszło podczas mego posłuchania i natychmiast uwiadomił o tem posła hiszpańskiego. Ten mniemał, że prześladując mnie wywiąże się z obowiązku dyplomatycznego. Śród tego toczyły się ważne układy. Poseł zaczął wynajdować przeszkody i do pokładanych trudności dołą-

czył uwagi nad moją osobą i nad rolą jaką odgrywałem. Droga ta zaprowadziła go do zamierzonego celu Wkrótce spostrzegłem że położenie moje całkiem się odmieniło. Obecność moja zdawała się mieszać układnych dworzan. Przewidziałem był tę zmianę jeszcze przed przyjazdem moim do Wiednia i niebardzo się nią zmartwiłem. Prosiłem o pożegnalne posłuchanie. Udzielono mi je, niewspomniano o niczem i wyjechałem do Londynu. Po kilku latach dopiero, wróciłem do Hiszpanji.

Znalazłem ksienią bladą i zagrożoną wycieńczeniem. « Don Juanie — rzekła do mnie — musiałeś spostrzedz zmiany jakie czas na mnie poczynił. W istocie, czuję że niedługo doczekam się końca życia, które niema już dla mnie żadnego powabu. Wielki Boże, na ileż zarzutów zasłużyłam z twojej strony. Posłuchaj Don Juanie, moja córka umarła w pogaństwie, wnuczka moja zaś jest mahometanką. Myśl ta zabija mnie, weź — czytaj. » To mówiąc podała mi list od Uzedy, następującej treści.

« Pani i przewielebna ksienio!

« Poszedłszy odwiedzić Maurów w ich ja-« skiniach, powiedziano mi że jakaś kobieta « pragnie ze mną pomówić. Udałem się za nią

« do jej mieszkania gdzie mi rzekła: « Señor « astrologu, ty który wiesz o wszystkiem, « wytłumacz mi wypadek jaki się zdarzył « memu synowi. Nachodziwszy się przez cały « dzień śród wąwozów i przepaści naszych « gór, zaszedł do bardzo pięknego źródła. « Tam wyszła do niego jakaś prześliczna dzie- « wczyna w której mój syn się zakochał, cho- « ciaż sądził że ma do czynienia z wróżką. « Mój syn wyjechał na daleką podróż, tym- « czasem prosił mnie aby wszelkiemi sposo- « bami starała się wyjaśnić tę tajemnicę. »

« Tak do mnie — mówiła Maurytanka — ja « zaś natychmiast odgadłem że wróżką tą była « nasza Ondyna, króra rzeczywiście ma zwy- « czaj zanurzania się w niektórych jaskiniach « i wypływania z drugiej strony ze źródła. Od- « powiedziałem maurytance kilka małoznaczą- « cych słów, aby ją zaspokoić, sam zaś uda- « łem się do jeziora. Starałam się wybadać « Ondynę ale naprożno, znasz pani jej wstręt « do rozmowy. Wkrótce jednak niepotrzebo- « wałem o nic się pytać, postać jej zdradziła « tajemnicę. Przeprowadziłem ją do mego zam- « ku, gdzie szczęśliwie powiła córeczkę. Nie- « cierpliwa powrotu do jeziora, niebawem ucie- « kła z zamku, rozpoczęła dawny, gwałtowny

« tryb życia i w kilka dni uległa chorobie. Na-
« reszcie, muszę bowiem wszystko wyznać,
« niepamiętam aby kiedykolwiek oświadczyła
« się z przywiązaniem do tej lub owej religji.
« Co do jej córki, ta pochodząc po ojcu z naj-
« czystszej krwi maurytańskiej, musi nieod-
« miennie zostać mahometanką. W przeciwnym
« razie moglibyśmy na nas wszystkich ściągnąć
« zemstę mieszkańców podziemia. »

« Przekonywasz się Don Juanie — dodała księżniczka w najwyższej rozpacy — jak muszę być nieszczęśliwą. Moja córka umarła w pogaństwie, moja wnuczka musi zostać muzułmanką!... Wielki Boże — jakże srogo mnie karzesz! » —

Gdy cygan domawiał tych słów, spostrzegł że już było poźno, odszedł więc do swoich ludzi, my zaś wszyscy udaliśmy się na spoczynek.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY.

Przewidywaliśmy że przygody cygana zmierzały już ku końcowi; z tem większą przeto niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru i natężyliśmy całą uwagę, gdy cygan tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Znakomita ksieni Val-Santa, może byłaby nie upadła pod brzemieniem zgryzot, ale naznaczyła sobie ostre pokuty, którym wycieńczone jej usposobienie nie mogło się oprzeć. Widziałem jak gasła powoli i nie mogłem odważyć się na porzucenie jej. Suknia moja zakonna, pozwalała mi o każdej porze wchodzić do klasztoru i pewnego dnia, nieszczęśliwa Manuela, na mojem łonie wyzionęła ducha. Książe Soriente, dziedzic księżniczki,

znajdował się podówczas w Val-Santa. Pan ten postępował ze mną nader otwarcie. «Znam — rzekł do mnie — stosunki jakie miałeś ze stronnictwem austryackiem, do którego sam także należałem. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował jakiej usługi, proszę cię racz mnie nie pomijać. Będę to sobie uważał za łaskę. Co do otwartych związków z tobą, pojmujesz że bez niepotrzebnego narażenia nas obu, żadnym sposobem nie mogę w nie wchodzić.»

Książe Soriente miał słuszność. Byłem jedną ze straconych placówek stronnictwa. Wystawiono mnie naprzód aby mnie potem wedle upodobania opuścić. Zostawał mi jeszcze majątek znaczny i łatwy do przeniesienia, cały bowiem znajdował się w rękach braci Moro. Chciałem wyjechać do Rzymu albo do Anglji, ale gdy szło o powzięcie stanowczego zamiaru nie mogłem nic przedsięwziąść. Wzdrygałem się na samą myśl wrócenia do świata. Pogarda do stosunków towarzyskich stała się pod pewnym względem chorobą mego umysłu.

Uzeda widząc że wahałem się niewiedząc co począć, namówił mnie do wejścia w służbę szeika Gomelezów. «Cóż to za służba — za-

pytałem — niesprzeciwiaż się ona w niczem spokojności mojej ojczyzny?»

«W niczem — odpowiedział. — Maurowie kryjący się w tych górach, przygotowują rewolucyę w islamizmie; polityka i fanatyzm, niemi powodują. Do dopięcia celu mają niezmierne środki. Niektóre najznakomitsze rodziny hiszpańskie, dla własnej korzyści weszły z niemi w stosunki. Inkwicycya ciągnie z nich znaczne pieniądze i pozwala na to w głębi ziemi, czego by nie ścierpiała na powierzchni. Nareszcie Don Juanie, wierzaj mi, zakosztuj życia jakie prowadzimy w naszych dolinach.»

Znudzony światem, postanowiłem pójść za radą Uzedy. Cyganie muzułmańscy i pogańscy przyjęli mnie jako człowieka przeznaczonego na ich naczelnika i poprzysięgli mi niezmienne posłuszeństwo. Do cyganek jednak należało ostatecznie wpłynąć na moje postanowienie. Dwie zwłaszcza nader mi wpadły w oko, jedna nazywała się Quitta, druga Zitta. Obie były zachwycające i nie wiedziałem którą mam wybrać. Spostrzegły moją niepewność i wydźwignęły mnie z kłopotu mówiąc: że wielożeństwo jest u nich dozwolonem i że niepotrzeba było żadnego

obrzędu religijnego do uświęcenia związku małżeńskiego.

Wyznaję ze wstydem że uwiodła mnie ta występna rozpusta. Niestety, jeden jest tylko sposób utrzymania się na drodze cnoty; należy unikać wszelkich ścieżek których ona zupełnie nie oświeca. Jeżeli człowiek ukrywa swoje nazwisko, uczynki lub zamiary, nie długo będzie musiał taić się z całem swojem życiem. Związek mój z księżniczką w tem tylko był nagannym, że musiałem go ukrywać i wszystkie tajemnice mego życia stały się koniecznem jego następstwem. Niewinniejszy urok zatrzymywał mnie w tych dolinach, to jest życia jakie w nich prowadzono. Ten widokrąg niebios zawsze rozpięty nad naszemi głowami, świeżość jaskiń i lasów, woń powietrza, kryształy wód, kwiaty wyrastające niemal za każdym naszym krokiem, nareszcie cała natura wystrojona we wszystkie ponęty, przedstawiały się dla uspokojenia mojej duszy znękanej światem i zgiełkliwą jego wrzawą.

Moje małżonki obdarzyły mnie dwoma córkami. Naówczas zacząłem zwracać większą uwagę na głos mego sumienia. Widziałem zgryzoty Manueli, które zaprowadziły ją

do grobu. Postanowiłem, że moje córki nie będą ani mahometankami ani pogankami. Wtedy jednak nie należało ich opuszczać, niebyło więc nad czem namyślać się, pozostałem w służbie Gomelezów. Powierzono mi nader ważne sprawy i niezmierne summy pieniędzy do rozporządzenia. Byłem bogatym, niczego dla siebie nie żądałem, ale za pozwoleniem mego zwierzchnika ile mogłem, oddawałem się dobroczynności; często udało mi się wybawić ludzi z wielkich nieszczęść.

W ogóle prowadziłem w głębi ziemi życie, jakie rozpocząłem na jej powierzchni. Znowu zostałem agentem dyplomatycznym. Jeździłem kilka razy do Madrytu i odbyłem kilka podróży zewnątrz Hiszpanji. Ten czynny sposób życia, powrócił mi straconą działalność. Coraz więcej do niego się przywiązywałem.

Tymczasem, córki moje podrastały. Za ostatnią moją wycieczką, wziąłem je z sobą do Madrytu. Dwóch szlachetnie urodzonych młodzieńców, potrafiło zjednać sobie ich serca. Rodziny tych panów zostają w związkach z mieszkańcami naszych podziemiów, i nie lękamy się aby rozgadali co-

by córki moje mogły im powiedzieć o naszych dolinach. Skoro tylko obie wydam za mąż, natychmiast wejdę do jakiego świętego schronienia, gdzie spokojnie będę oczekiwał końcu życia, które chociaż niezupełnie wolnem od błędów, nie mogę jednak nazwać występnem. Chcieliście abym wam opowiedział moje przygody, pragnę abyście teraz nie żałowali waszej ciekawości. —

« Radabym tylko — rzekła Rebeka — dowiedzieć się co się stało z Busquerem? »

« Zaraz ci to opowiem — odparł cygan. — O ćwiczenie w Barcelonie, zraziło go do szpiegostwa, ale ponieważ otrzymał je pod nazwiskiem Robustego, mniemał przeto że w niczem nie mogło zaszkodzić sławie Busquera. Śmiało więc ofiarował swoje usługi kardynałowi Alberoniemu i został pod jego ministerium gmatwaczem podrzędnym, podobnie do swego opiekuna który był znakomitym gmatwaczem.

« Następnie, inny awanturnik nazwiskiem Ripeda, rządził Hiszpanią. Pod jego władzą, Busqueros doznał jeszcze kilku pomyślnych dni; ale czas który kładnie tamę

najświetniejszym przeznaczeniom, pozbawił Busquera możności używania własnych nóg. Dotknięty paraliżem, kazał się zanosić na plac del Sol i tam jeszcze rozwijał rzadką czynność, zatrzymując przechodzących i o ile możności, mieszając się do ich spraw. Ostatnim razem, widziałem go w Madrycie obok najzabawniejszej w świecie postaci, w której poznałem poetę Augudeza. Wiek pozbawił go wzroku i biedak pocieszał się myślą że Homer był ślepym. Busqueros, opowiadał mu plotki miejskie, Augudez układał je wierszami i niekiedy słuchano go z przyjemnością, chociaż został mu tylko cień dawnych zdolności.»

«Señor Avadoro — zapytałem z kolei — cóż się stało z córką Ondyny?»

«Dowiesz się o tem poźniej, w tej chwili racz zająć się przygotowaniami do twego odjazdu.»

Udaliśmy się w pochód i po długiej podróży przybyliśmy do doliny głęboko wydrążonej i zewsząd opasanej skałami. Gdy rozbito namioty, naczelnik cyganów, przyszedł do mnie i rzekł: «Señor Alfonsie, weź twój kapelusz i szpadę i udaj się za mną.» Postąpiliśmy o sto kroków dalej i przybyli-

śmy do otworu w skale, przez który ujrzałem długą, ciemną galeryę. «Señor Alfonsie — rzekł do mnie naczelnik — znamy twoją odwagę, wreszcie nie pierwszy raz odbywasz już tę drogę. Wejdź w tę galeryę i tak jak poprzednim razem, zapuść się we wnętrzności ziemi. Żegnam cię, tu już musimy się rozstać.»

Pamiętny pierwszej wycieczki, spokojnie postępowałem przez kilka godzin w ciemności. Nareszcie spostrzegłem światełko i przybyłem do grobowca, gdzie ujrzałem tego samego modlącego się starego derwisza. Na szmer, który wchodząc sprawiłem, derwisz odwrócił się i rzekł: «Witam cię młodzieńcze, z prawdziwą przyjemnością znowu cię tu oglądam. Umiałeś dotrzymać twego słowa względem pewnej części naszej tajemnicy, teraz odkryjemy ci całą i nie prosimy już o milczenie. Tymczasem odpocznij i pokrzep siły.»

Usiadłem na kamieniu, i Derwisz przyniósł mi koszyk w którym znalazłem mięso, chleb i wino. Posiliłem się; wtedy derwisz popchnął jedną ścianę grobowca, obrócił ją na zawiasach i odkrył mi kręcone schodki: «Zejdź tędy — rzekł do mnie —

zobaczysz co będziesz miał do czynienia.» Naliczyłem jeszcze blizko tysiąca schodów w ciemności i dostałem się do jaskini oświeconej kilką lampami, spostrzegłem ławkę kamienną, na której leżały uporządkowane dłuta stalowe i młotki z tegoż samego kruszcu. Przed ławką błyskała żyła złota objętości człowieka. Kruszec był ciemno żółty i zdawał się zupełnie czystym. Zrozumiałem czego po mnie żądano. Chciano abym wykuł tyle złota ile tylko będę mógł.

Ująłem dłuto lewą, młotek zaś prawą ręką i w krótkim czasie stałem się dość biegłym górnikiem; ale dłuta się tępiły i często musiałem je odmieniać. Po upływie trzech godzin wykułem więcej złota aniżeli jeden człowiek mógł udźwigrząć.

Wtedy spostrzegłem że jaskinia napełniała się wodą, wszedłem na schodki ale woda ciągle się wznosiła, musiałem więc całkiem jaskinię opuścić. Zastałem derwisza który pobłogosławił mnie i pokazał drugie kręcone schodki prowadzące do góry któremi miałem się udać. Zacząłem wstępować i uszedłszy znowu jakie tysiąc kroków, znalazłem się śród okrągłej sali, oświeconej mnóstwem lamp których blask

odbijał się w płytach miki i opalu zdobiących ściany.

W głębi sali, wznosił się złoty tron na którym siedział starzec w śnieżnym turbanie na głowie. Poznałem w nim pustelnika z doliny. Moje kuzynki bogato ubrane stały tuż przy nim, kilku derwiszów w białej odzieży z obu stron go otaczało: « Młody Nazarejczyku — rzekł do mnie szeik, — poznajesz we mnie pustelnika który cię przyjmował w dolinie Guad-al-Quiviru, ale zarazem zgadujesz że jestem wielkim szeikiem Gomelezów.

« Przypominasz sobie zapewne twoje dwie małżonki, prorok pobłogosławił ich pobożną tkliwość, obie wkrótce zostaną matkami i będą mogły ustalić plemię przeznaczone do powrócenia kalifatu rodzinie Alego. Nie zawiodłeś naszych nadziei, wróciłeś do obozu i najmniejszem słówkiem nie dałeś poznać tego co ci się w naszych podziemiach przytrafiło. Oby Allah spuścił rosę szczęścia na twoją głowę! »

To powiedziawszy, szeik zszedł z tronu i uściskał mnie, kuzynki to samo uczyniły. Odesłano derwiszów, przeszliśmy do dru-

giej komnaty gdzie w głębi zastawiono wieczerzę. Tam nie było już żadnych uroczystych przemów, żadnych namawiań do mahometanizmu, wesoło przepędziliśmy razem znaczną część nocy.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI.

Nazajutrz z rana, znowu posłano mnie do kopalni, gdzie wykułem taką samą ilość złota jak wczoraj. Wieczorem, poszedłem do szeika i zastałem u niego obie moje małżonki. Prosiłem go aby raczył zadowolić moją ciekawość względem wielu rzeczy, o których chciałem się dowiedzieć, zwłaszcza zaś o jego własnych przygodach. Szeik odpowiedział że w istocie, przyszedł czas w którym należało mi odkryć całą tajemnicę, i zaczął w te słowa:

HISTORYA WIELKIEGO SZEIKA GOMELEZÓW.

Widzisz we mnie pięćdziesiątego drugiego następcę Massuda Ben Tachera, pierwszego szeika Gomelezów, który wybudował Kassar,

znikał ostatniego piątku każdego miesiąca i następnego dopiero powracał.

Kuzynki twoje już ci niektóre rzeczy opowiedziały, ale ja dokończę ci ich powieść i odsłonię wszystkie nasze tajemnice. Maurowie już od kilku lat znajdowali się w Hiszpanji gdy dopiero pomyśleli o zapuszczeniu się w doliny Alpuhary. Doliny te zamieszkiwał naówczas lud nazwany Turdulami lub Tardetanami. Krajowcy ci sami siebie nazywali Tharszysz i utrzymywali że niegdyś przebywali w okolicach Kadyxu. Zatrzymali byli wiele wyrazów ze starożytnego ich języka, którym umieli nawet pisać. Głoski ich były te same jakie oznaczono w Hiszpanji nazwiskiem «*descunoseidas*.» Pod panowaniem Rzymian i następnie Wisygotów, Tardetanie składali bogate haracze, za to zaś zachowali zupełną niepodległość i dawną wiarę. Czcili Boga pod nazwiskiem Jahh i składali mu ofiary na górze nazwanej «Gomelez Jahh» co znaczyło w ich języku górę Jahha. Arabowie zdobywcy, nieprzyjaciele chrześcijan jeszcze bardziej nienawidzili pogan lub tych którzy za takich uchodzili.

Pewnego dnia Massud, w podziemiach Chataczu znalazł kamień pokryty starożytne-

mi głoskami. Podniósł go i spostrzegł kręcone schodki, prowadzące wewnątrz góry. Massud kazał przynieść sobie pochodnię i sam się zapuścił. Znalazł komnaty, przejścia, kurytarze, ale obawiając się zabłądzić powrócił. Drugiego dnia znowu zwiedził podziemia i spostrzegł pod nogami cząstki wypolerowane i świecące. Zebrał je, zaniósł do siebie i przekonał się że to było czyste złoto. Przedsięwziął trzecią podróż i idąc za śladem pyłu złotego dostał się do tej samej żyły złota nad którą pracowałeś. Osłupiał na widok tylu bogactw. Powrócił czemprędzej i nie zaniechał wszelkich ostrożności jakie tylko mógł wymyślić, dla zatajenia przed światem swego skarbu. Przy wejściu do podziemia, kazał zbudować kaplicę i udał że chce w niej prowadzić pustelnicze życie na modlitwie i rozmyślaniu. Tymczasem ciągle pracował na żyłą złota i kuł drogi kruszec o ile możności najwięcej. Praca szła mu niezmiernie wolno, gdyż nie tylko że nieśmiał przybrać pomocnika, ale nadto musiał potajemnie starać się o stalowe narzędzie, potrzebne mu do jego górniczej pracy.

Massud ujrzał wtedy że bogactwa wcale nie przedstawiały władzy, miał bowiem przed

sobą więcej złota aniżeli wszyscy panowie ziemscy. Dobywanie jednak przychodziło mu z niesłychaną trudnością; następnie nie wiedział co począć ze złotem i gdzie je schować.

Massud był gorliwym wyznawcą proroka i zagorzałym stronnikiem Alego. Mniemał że sam prorok odkrył mu i dał to złoto, dla powrócenia kalifatu jego rodzinie, to jest potomkom Alego i następnie przez nich dla nawrócenia świata na islamizm. Myśl ta zaprzątnęła jego umysł. Oddał się jej był z tym większym zapałem, że ród Omniadów chwiał się w Bagdadzie i powżięto nadzieje przywrócenia do tronu Alidów. W istocie Abassydzi wytępili Omniadów, ale żadna ztąd korzyść nie wynikła dla rodu Alego, przeciwnie, jeden nawet z Omniadów przybył do Hiszpanji i został kalifem Kordowy.

Massud, widząc się bardziej niż kiedykolwiek otoczonym nieprzyjaciołmi, umiał pilnie się ukrywać. Zaniechał nawet wykonania swoich zamiarów, ale nadał im kształt który, że tak powiem, zachowywał je na przyszłość. Wybrał sześciu naczelników rodzin ze swego pokolenia, zobowiązał ich świętą przysięgą i odkrywszy im tajemnicę złotej żyły, rzekł:

« Od dziesięciu lat, posiadam już ten skarb i nie mogłem uczynić z niego żadnego użytku. Gdybym był młodszym, byłbym mógł zebrać wojowników, i panować złotem i mieczem. Ale odkryłem moje bogactwa za pożno. Znano mnie jako stronnika Alego i jeszcze przed możnością zebrania stronnictwa, nieomieszkano by mnie zamordować. Mam nadzieję że prorok nasz powróci kiedyś kalifat swojej rodzinie i że wtedy cały świat przejdzie na jego wiarę. Czas jeszcze nie nadszedł, należy go jednak przygotować. Mam stosunki w Afryce, gdzie tajemnie podpieram Alidów, trzeba także w Hiszpanji utwierdzić potęgę naszego pokolenia. Nadewszystko zaś musimy ukrywać nasze środki. Niepowinniśmy wszyscy nosić tego samego nazwiska, ty więc krewny mój Zegrysie, z całym twoim rodem osiedlisz się w Grenadzie. Moi zostaną w górach i zachowają nazwisko Gomelezów. Inni oddalą się do Afryki i tam zaślubią córki Fatymitów. Zwłaszcza należy zwracać uwagę na młodzież, zgłębiać jej sposób myślenia i wystawiać na rozmaite próby. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się między nią jeden obdarzony niepospolitemi zdolnościami i dzielnością, naówczas postara się o zrzucenie z tronu Abas-

sydów, wytępienie do szczętu Omniadów i powrócenie kalifatu potomkom Alego. Według mego zdania, przyszły zdobywca ma przyjąć tytuł Mahadego, czyli dwunastego Imana i powiniem zastosować do siebie przepowiednię proroka, który powiada: «że słońce wstanie na zachodzie.»

Te były zamiary Massuda; zapisał je w księdze, nic odtąd nie przedsiębrał bez rady sześciu naczelników pokolenia. Nareszcie złożył godność i jednemu z nich powierzył miejsce wielkiego szeika i zamek Kassar-Gomelez. Ośmiu szeików nastąpiło po sobie. Zegrysowie i Gomelezy nabyli najpiękniejsze majątki w Hiszpanji, niektórzy przeszli do Afryki, objęli ważne posady i spokrewnili się z najprzemożniejszemi rodzinami.

Już upływał drugi wiek Hegiry, gdy jeden z Zegrisów ośmielił się ogłosić Mahadim, czyli naczelnikiem według prawa. Założył stolicę w Kairawanie o jeden dzień drogi od Tunisu, podbił całą Afrykę i stał się głową rodu kalifów Fatymitów. Szeik Kassar-Gomelezu posłał mu massę złota, z resztą, musiał więcej niż kiedykolwiek osłaniać się mrokiem tajemnicy, chrześcijanie bowiem brali górę i obawiano się aby Kassar nie popadł w ich ręce.

Wkrótce szeik wpadł w drugi kłopot. Było nim nagłe wzniesienie się Abenseragów, rodu nieprzyjaznego naszemu i zupełnie odmiennego z nami sposobu myślenia. Zegrisowie i Gomelezy byli dzikimi, zamkniętymi sami w sobie i gorliwymi o wiarę; przeciwnie Abenseragi postępowali łagodnie, wykształcenie, dworsko z kobietami i przyjaźnie z chrześcijanami. Przeniknęli byli do pewnego stopnia nasze tajemnice i otoczyli nas zasadzkami.

Następcy Mahaddego zdobyli Egipt i zostali uznani w Syryi równie jak w Persyi. Potęga Abassydów runęła ze szczętem. Książęta turkomańscy owładnęli Bagdadem, pomimo to jednak, wyznanie Alego mało co się rozszerzało i sunaizm ciągle zachowywał nad niem wyższość.

W Hiszpanji, Abenseragi coraz bardziej psuli obyczaje. Kobiety pokazywały się bez zasłon, mężczyzni zaś u ich nóg wzdychali. Szeikowie Kassaru nie wychodzili więcej z zamku i niedotykali się złota. Stan ten trwał długo, nareszcie Zegrysowie i Gomelezy, pragnąc ocalić wiarę i królestwo, spiknęli się przeciw Abenseragom i wymordowali ich na lwiem podwórzu, śród własnego ich pałacu nazwanego Al-hambra.

Nieszczęsny ten wypadek pozbawił Grenadę znacznej części jej obrońców i przyśpieszył zagubę. Doliny Alpuhary idąc za przykładem reszty kraju, poddały się zwycięzcom. Szeik Kassar-Gomelezu, zburzył swój zamek i schronił się do wnętrza podziemi, do tych samych komnat gdzie widziałeś braci Zota. Sześć rodzin ukryło się wraz z nim we wnętrznościach ziemi, reszta schroniła się do przyległych jaskiń, których otwory wychodziły na inne doliny.

Niektórzy z Zegrisów i Gomelezów, przyjęli wiarę chrześcijańską, lub przynajmniej udali nawrócenie. W liczbie tych była rodzina Morów, którzy trzymali wprzódy dom handlowy w Grenadzie i następnie zostali nadwornymi bankierami. Nie obawiali się braku funduszów, mieli bowiem do rozporządzenia wszystkie skarby podziemia. Związki z Afryką ciągle trwały, zwłaszcza zaś z królestwem Tunis. Wszystko szło dość dobrze aż do czasów Karola Cesarza i Króla hiszpańskiego. Zakon proroka, który już nie błyszczał w Azyi tak świetnie jak za kalifów, szerszył się natomiast w Europie, wsparty podbojami Otomanów.

W owej epoce, niezgoda wszystko burząca

na ziemi, wdarła się także i pod ziemię, czyli do naszych jaskiń. Szczupłość przestrzeni rozjątrzała jeszcze wzajemne niesnaski. Sefi i Billah, powadzili się o godność szeika, o którą w istocie warto było się ubiegać, jako o nadającą prawo rozporządzania niewyczerpaną kopalnią. Sefi przekonany o swojej słabości, chciał przejść na stronę chrześcijan; Billah utopił mu sztylet w piersiach, poczem zastanowił się nad bezpieczeństwem ogółu. Tajemnicę podziemia spisano na pargaminie i pokrajano go na sześć pasków, prostopadłych do pisma. Tylko więc razem złączone można je było przeczytać. Każdy pasek powierzono jednemu z sześciu naczelników rodzin i pod karą śmierci zakazano mu udzielanie drugiemu. Wtajemniczony, nosił pasek na prawem ramieniu. Billah, nad wszystkimi mieszkańcami podziemia i okolic, zachował prawo życia i śmierci. Sztylet który był zanurzył w piersiach Sefiego, stał się oznaką jego władzy i przechodził w dziedzictwie do następców. Zaprowadziwszy tym sposobem surowy rząd w podziemiach, Billah, z niezmordowaną czynnością, zajął się sprawami Afryki. Gomelezowie posiedli w niej kilka tronów. Zapanowali w Tarudancie i Temrenie, ale

Afrykanie są to ludzie lekkomyślni, słuchający przedewszystkiem głosu namiętności i powodzenia w tej części świata, nigdy nie miały skutków jakichby się należało spodziewać.

Około tego czasu, zaczęto prześladować Maurów pozostałych w Hiszpanji. Billah, zręcznie skorzystał z tej okoliczności. Z niesłychaną biegłością, urządził system wzajemnej opieki między podziemiem a ludźmi piastującymi wysokie urzędy. Ci mniemali że opiekują się tylko kilkoma rodzinami maurytańskiemi, chcącemi pozostać w spokoju, rzeczywiście zaś dopomagali zamiarom szeika, który w nadgrodę otwierał im swoją kiesę. Spostrzegam także w naszych rocznikach: że Billah ustanowił, a raczej przywrócił próby przez jakie młodzież musiała przechodzić, dla udowodnienia dzielności swego charakteru. Próby te przed Billahem, puszczono w zapomnienie. Wkrótce nastąpiło wygnanie Maurów. Szeik podziemia nazywał się Kader. Był to człek mądry, który nie zaniechał wszelkich środków, jakie tylko mogły zapewnić bezpieczeństwo ogółu. Bankierowie Moro, utworzyli stowarzyszenie ludzi znaczących, którzy udawali miłosierdzie dla Maurów: pod tym po-

zorem, wyświadczali im tysiączne przysługi i kazali sobie sowicie płacić.

Maurowie, wygnani do Afryki, unieśli z sobą ducha zemsty bezustannie ich ożywiającego. Myślanoby że cała ta część świata powstanie i zaleje Hiszpanią; ale wkrótce państwa afrykańskie przeciw nim się oświadczyły. Naprożno w wewnętrznych wojnach krew hojnie się lała, naprożno szeikowie podziemia sypali złoto, nieubłagany Mulej Izmael, skorzystał ze stuletnych niezgód i założył państwo dotąd istniejące.

Tu przychodzę do chwili mego urodzenia i już o samym sobie będę ci opowiadał. —

Gdy szeik, domawiał tych słów, oznajmiono że wieczerza była na stole i wieczór ten upłynął nam jak poprzedzający.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI.

Z rana, znowu wysłano mnie do podziemia. Ile mogłem, tyle złota wykułem, wreszcie przyzwyczaiłem się już do tej pracy, całe dnie bowiem przy niej tylko spędzałem. Wieczorami, chodziłem do szeika, gdzie zastawałem moje kuzynki. Prosiłem go aby dalej raczył mi opowiadać swoje przygody, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORYI SZEIKA GOMELEZÓW.

Zaznajomiłem cię z historyą naszych podziemi o ile sam ją wiedziałem. Teraz opowiem ci własne moje przygody. Urodziłem się w obszernej jaskini przyległej do tej, w której się znajdujemy. Światło, pochyło do niej wpadało, nieba wcale nie było widać, ale wychodziliśmy między rozpadliny skał

oddychać świeżem powietrzem, gdzie pokazywała się cząstka sklepienia niebieskiego a często nawet i słońce. Mieliśmy na wierzchu małą kwaterę na której uprawialiśmy kwiaty. Mój ojciec był jednym z sześciu naczelników rodzin. Na mocy tego, wraz z całą rodziną, mieszkał w podziemiu. Krewni jego zamieszkiwali doliny i uchodzili za chrześcijan. Niektórzy osiedlili się na przedmieściu Grenady, nazwanem Al-barazin. Wiesz że niema tam wcale domów i mieszkańcy zajmują wydrążenia w skałach, na pochyłości góry. Kilka z tych szczególnych mieszkań, łączyło się z pewnemi jaskiniami które dochodziły aż do naszego podziemia. Najbliżsi mieszkańcy, co piątek, schodzili się do nas na wspólną modlitwę, dalsi przybywali tylko na wielkie uroczystości. Moja matka mówiła do mnie po hiszpańsku, ojciec zaś po arabsku.

Ztąd, dokładnie poznałem oba języki, zwłaszcza zaś drugi. Nauczyłem się na pamięć koranu i często zagłębiałem się nad komentarzami. Od najmłodszych lat, byłem gorliwym mahometaninem i nader przywiązanym do wyznania Alego; przeciw chrześcijanom, zaszczepiono we mnie gwałto-

wną nienawiść. Wszystkie te uczucia, że tak powiem, zrodziły się razem ze mną i wzrastały w ciemnościach naszych jaskiń.

Doszedłem ośmnastego roku i zdawało mi się że już od kilku lat jaskinie gniotły mnie i dusiły. Wzdychałem do wolnego powietrza; uczucie to wywarło wpływ na moje zdrowie, słabnąłem, niknąłem w oczach i moja matka pierwsza stan ten we mnie spostrzegła. Zaczęła badać moje serce; powiedziałem jej wszystko czego doznawałem. Opisałem jej ciągłe duszenie jakie mnie dręczyło i szczególną niespokojność serca, której nie mogłem wyrazić. Dodałem że koniecznie pragnę odetchnąć innem powietrzem, widzieć niebo, lasy, góry, morze, ludzi i że murę jeżeli mi tego nie dadzą. Moja matka zalała się łzami i rzekła: «Drogi Massudzie, choroba twoja jest zwykłą między nami, ja sama ją miałam i wtedy pozwolono mi przedsięwziąść kilka wycieczek. Byłam w Grenadzie i dalej. Ale inaczej rzecz się ma z tobą. Powzięto względem ciebie ważne zamiary; wkrótce rzucą cię w świat i daleko więcej aniżelibym tego pragnęła. Wszelako, przyjdź do mnie jutro

o świecie, postaram się że odetchniesz świeżem powietrzem.»

Nazajutrz, stawiłem się na schadzkę naznaczoną mi przez moją matkę. «Kochany Massudzie — rzekła do mnie — chcesz zażyć świeższego powietrza aniżeli to, jakiem oddychasz w naszych jaskiniach, uzbrój się zatem w cierpliwość. Pełznąc przez jakiś czas pod tą skałą, dostaniesz się do nader głębokiej i ciasnej doliny, ale gdzie powietrze jest wolniejszem niż u nas. W niektórych miejscach, możesz nawet wdrapać się na skały i ujrzysz pod nogami niezmierzony widokrąg. Ta wyżłobiona droga była tylko w początkach rozpadliną, która popękała w różnych kierunkach. Jestto labirynt krzyżujących się ścieżek, masz więc oto kilka węgli i gdy spotkasz przed sobą rozdroża, naznacz tę drogę którą szedłeś; tym tylko sposobem nie zabłądzisz. Weź z sobą ten worek z zapasami; co do wody, tej będziesz miał podostatkiem. Spodziewam się że nikogo nie spotkasz, dla pewności zatknij jednak za pas jatagan. Wielce się narażam dogadzając twoim żądaniom, dla tego też nie baw się długo.» Podziękowałem mojej dobrej matce, zacząłem pełznąć i wy-

szedłem do ciasnego i wyżłobionego przejścia, wyłożonego atoli zielonością. Następnie spostrzegłem małą zatokę pięknej wody, dalej zaś krzyżujące się wąwozy. Szedłem przez znaczną część dnia. Szmer wodotrysku zwrócił moją uwagę, postąpiłem ku jego spadkowi i przybyłem do zatoki w którą strumień się rzucał. Miejsce to było zachwycającem. Przez chwilę stałem osłupiały z podziwienia, następnie głód zaczął mi dokuczać, dobyłem z worka zapasy, dopełniłem umywania nakazanego prawem proroka i zabrałem się do posiłku. Skończywszy moją ucztę, znowu obmyłem się, pomyśliłem o powrócie do podziemia i udałem się tą samą drogą. Wtedy usłyszałem dziwny szmer wody, obróciłem się i ujrzałem wychodzącą z wodotrysku kobietę. Zmoczone włosy prawie całą ją okrywały, miała jednak oprócz tego zieloną jedwabną suknię przylegającą do ciała. Wróżka wyszedłszy z wody, skryła się w krzaku, poczem wyszła w wysuszonej sukni i z włosami zawiniętemi na grzebień.

Wstąpiła na skałę, jak gdyby pragnęła nacieszyć się widokiem, następnie wróciła do źródła z którego była wyszła. Mimowol-

nem poruszeniem chciałem ją zatrzymać i zastąpiłem jej drogę. Z początku przelękła się, ale ja padłem na kolana i pokorna ta postawa nieco ją uspokoiła. Zbliżyła się do mnie, wzięła mnie za brodę, podniosła mi głowę i pocałowała w czoło. Nagle, z szybkością błyskawicy rzuciła się w zatokę i znikła. Nie wątpiłem żeby to nie była wróżka, lub jak nazywają w naszych arabskich powieściach, Peri. Poszedłem jednak do krzaku w którym się była skryła i znalazłem rozwieszoną na nim jej sukienkę jakby do wysuszenia.

Nie miałem po co dłużej czekać, wróciłem więc do podziemia. Uściskałem moją matkę, ale nie opowiedziałem jej przygody jaka mnie spotkała, wyczytałem bowiem w naszych gazellach, że wróżki lubiły aby im dochowywano tajemnicy. Tymczasem matka moja widząc mnie tak nadzwyczajnie ożywionego, cieszyła się że nastręczona mi przez nią wolność, wywarła równie pomyślny skutek.

Nazajutrz, wróciłem do źródła, naznaczywszy je zaś wprzódy węglem, teraz z łatwością więc je wynalazłem. Stanąwszy u celu, zacząłem z całych sił wołać na

wróżkę i przepraszać że ośmieliłem się w jej źródle odbywać moje umywania. I tym jednak razem, to samo uczyniłem, poczem roztasowałem moje zapasy, których tajemnem przeczuciem, przyniosłem na dwoje. Jeszcze nie zacząłem był mojej uczty gdy w źródle usłyszałem szmer i wyszła z niego wróżka z śmiejącą twarzą, pryskając na mnie wodą.

Pobiegła do krzaku, przebrała się w suchę suknię i usiadła przy mnie. Zajadała jak zwykła śmiertelniczka, ale nie rzekła ani słowa. Wyobrażałem sobie że był to zwyczaj wróżek i nic przeciw niemu niemiałem do powiedzenia.

Don Juan Avadoro oznajmił cię ze swemi przygodami, zgadujesz zatem że moja wróżka była córką jego, Ondyną, która zanurzała się pod sklepienia skał i ze swego jeziora wypływała do zatoki.

Ondyna była niewinną, czyli raczej nieznała ani grzechu ani niewinności. Postać miała tak czarującą, obejścia tak proste i ponętne, że marząc w duszy że zostałem małżonkiem wróżki, namiętnie ją pokochałem. Trwało to przez miesiąc. Pewnego dnia szeik kazał mnie przywołać. Zastałem u

niego zgromadzonych sześciu naczelników rodzin. Mój ojciec był między niemi. « Synu mój — rzekł do mnie — opuścisz nasze jaskinie i udasz się do tych szczęśliwych krajów, gdzie wyznają wiarę proroka. »

Słowa te, krew mi ścięły w żyłach. Wszystko mi było jedno umrzeć lub rozłączyć się z wróżką. « Drogi ojcze — zawołałem — pozwól abym nigdy nieopuszczał tych podziemi. » Zaledwie wymówiłem te wyrazy, gdy ujrzałem wszystkie sztylety nademną wzniesione.

Mój ojciec, zdawał się pierwszym do przeszycia mi serca. « Przystaję na śmierć — rzekłem — ale dozwól mi wprzódy pomówić z moją matką. » Udzielono mi tę łaskę, rzuciłem się w jej objęcia i opowiedziałem moje przygody z wróżką. Moja matka mocno się zdziwiła i rzekła: « Kochany Massudzie, nie sądziłam aby wróżki były na świecie. Wreszcie nie znam się na tem, ale mieszka ztąd niedaleko jeden bardzo mądry hebrajczyk którego się zapytam. Jeżeli ta którą kochasz jest wróżką, potrafi cię wszędzie wynaleźć. Z drugiej jednak strony, wiesz że najmniejsze nieposłuszeństwo, karzą u nas śmiercią. Starcy nasi, powzięli względem ciebie wielkie

zamiary, poddaj się im czemprędzej i staraj się zasłużyć na ich przychylność.» Słowa te mojej matki, wywarły na mnie silne wrażenie. Wystawiałem sobie że w istocie wróżki były wszechmocnemi i że moja wynajdzie mnie, choćby na końcu świata. Poszedłem do mego ojca i poprzysiągłem ślepe posłuszeństwo na wszelkie rozkazy.

Nazajutrz, wyjechałem w towarzystwie pewnego mieszkańca z Tunis, nazwiskiem Sud-Ahmeta, który naprzód zawiózł mnie do swego rodzinnego miasta, jednego z najroskoszniejszych w świecie. Z Tunisu udaliśmy się do Zawanu, małego miasteczka słynnego wyrobem czerwonych czapeczek, znanych pod nazwą fezów. Powiedziano mi że niedaleko miasta, znajdował się szczególniejszy budynek złożony z kaplicy i galeryi otaczającej półkolem małą zatokę. Woda strumieniem wytryskiwała z kaplicy i napełniała zatokę. Dawnemi czasy, woda z zatoki wchodziła do wodociągu prowadzącego ją do Kartaginy. Mówiono także, że kaplica poświęconą była jakiemuś bóstwa źródła. Wyobraziłem sobie jak szalony, że bóstwem tem była moja wróżka. Udałem się do źródła i zacząłem ją z całych sił przyzywać. Echo mi tylko odpowie-

działo. Wspominano mi znowu w Zawanie o pałacu gienjuszów, którego zwaliska leżały o kilka mil w głębi pustyni. Poszedłem i tam i ujrzałem okrągły budynek w dziwnie pięknym smaku wystawiony. Spostrzegłem jakiegoś człowieka siedzącego na zwaliskach i rysującego. Zapytałem go po hiszpańsku, czyli to było prawdą że gienjusze zbudowały ten pałac? Uśmiechnął się i odpowiedział mi że był to teatr w którym starożytni Rzymianie wyprawiali walki dzikich zwierząt, i że miejsce to dziś nazywające się El-dżem, było niegdyś ową sławną Zamą. Objaśnienie podróżnego wcale mnie nie zajęło; wolałbym był spotkać gienjuszów, którzyby mi byli co donieśli o mojej wróżce.

Z Zawanu, udaliśmy się do Kairawanu, dawnej stolicy Mahaddych. Było to ogromne miasto o stu tysięcach mieszkańców, burzliwych i w każdej chwili skłonnych do powstania. Przepędziliśmy tam cały rok. Z Kairawanu przeszliśmy do Guadamo, małego, niepodległego kraiku, który stanowił część Beled-ul-Gezidu, czyli kraju daktylów. Tak nazywają oklicę rozciągającą się między pasmem Atlasu a piaszczystą pustynią Sahary. Drzewa daktylowe tak obficie rodzą w tym kraju, że je-

dno może przez cały rok wyżywić wstrzemięźliwego człowieka, jacy w ogóle składają tameczny lud. Nie brak wszelako i na innych środkach pożywienia, temi są: zboże, nazwane duzą i barany na wysokich nogach i bez wełny, których mięso jest wyśmienitem.

Znaleźliśmy w Guadamo, wielką ilość Maurów rodem z Hiszpanji. Nie było pomiędzy niemi ani Zegrisów ani Gomelezów, wiele jednak rodzin szczerze do nas przywiązanych; w każdym razie, byłto kraj zbiegów. Jeszcze rok nie był upłynął gdy otrzymałem od mego ojca list kończący sie temi słowy: « Matka « każe ci powiedzieć, że wróżki są zwykłemi « kobietami i że nawet mają dzieci. » Zrozumiałem, że moja wróżka była podobną mi śmiertelniczką i myśl ta uspokoiła nieco moją wyobraźnię. —

Gdy szeik domawiał tych słów, jeden z derwiszów oznajmił nam że wieczerza była już zastawioną, wesoło więc poszliśmy do stołu.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY.

Nazajutrz, nie zaniechałem udać się do kopalni, gdzie przez cały dzień gorliwie wykonywałem rzemiosło górnika. Wieczorem, poszedłem do szeika i prosiłem go aby dalej raczył opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORYI SZEIKA GOMELEZÓW.

Mówiłem ci że otrzymałem od mego ojca list, z którego dowiedziałem się że moja wróżka była kobietą. Znajdowałem się naówczas w Guadamo. Sud-Ahmet wyprawił mnie do Feranu, kraju większego od Guadamo, ale mniej obfitego i gdzie mieszkańcy są wszyscy czarni. Ztamtąd udaliśmy się do oazy Ammona, gdzie musieliśmy czekać na wiadomości z Egiptu. Ludzie wysłani przez

nas, pewrócili w piętnaście dni z ośmioma dromaderami. Chód tych zwierząt był nie do wytrzymania, trzeba go było jednak znosić przez ośm godzin bez przerwy. Poczem zatrzymaliśmy się; dano każdemu dromaderowi kulkę z ryżu, gummy i kawy, wypoczęliśmy przez cztery godzin i znowu ruszyliśmy w dalszą drogę.

Trzeciego dnia stanęliśmy w Baha-be-lama-czyli na morzu bez wody. Była to szeroka dolina piasczysta i pokryta muszlami, nie spostrzegliśmy żadnego śladu ani roślin ani zwierząt. Wieczorem przybyliśmy na brzegi jeziora obfitującego w natron który jest rodzajem soli. Tam porzuciliśmy naszych przewodników i dromadery i przepędziłem noc sam na sam z Sud-Ahmetem. O świcie, przybyło ośmiu krzepkich ludzi którzy posadzili nas na noszach, dla przeniesienia przez jezioro. Postępowali jeden za drugim gdzie bród zdawał się dość wązkim. Natron kruszył się pod ich stopami które jednak, dla ochronienia od ran, po owiązywali skórami. Tym sposobem niesiono nas dłużej niż przez dwie godziny. Jezioro wchodziło w dolinę osłonioną dwoma skałami z białego granitu, po czem ginęło pod wielkiem sklepie-

niem utworzonem przez naturę, ale ręką ludzką wykończonem.

Tu przewodnicy rozniecili ogień i nieśli nas jeszcze przez jakie sto kroków, aż do pewnego rodzaju przystani, gdzie łódź na nas czekała. Przewodnicy nasi ofiarowali nam lekki pokarm, sami zaś posilali się pijąc i kurząc haczyh, czyli wyskok z konopianego nasienia. Następnie rozpalili pochodnię z żywicy, szeroko oświecającą do koła, i uczepili ją do steru łodzi. Wsiedliśmy, nasi przewodnicy zmienili się we wioślarzów i przez całą resztę dnia płynęli z nami pod ziemią. Nad wieczorem, przybyliśmy do zatoki, zkąd kanał rozlewał się na kilka koryt. Sud-Ahmet rzekł mi, że tu zaczynał się sławny w starożytności labirynt Osymandyasa. Dziś pozostała tylko podziemna część gmachu, łącząca się z jaskiniami Luxoru i wszystkiemi podziemiami Tebaidy.

Zatrzymano łódź przy wejściu do jednej z zamieszkanych jaskiń, sternik poszedł dla nas po pożywienie, poczem owinęliśmy się w nasze haiki i zasnęliśmy w łodzi.

Nazajutrz, znowu wzięto się do wioseł; łódź nasza płynęła pod obszernemi galeryami, nakrytemi płaskiemi głazami nadzwy-

czajnego rozmiaru; niektóre z nich całkiem zapisane były hieroglifami. Przybyliśmy nareszcie do portu i wysiedli do miejscowej załogi. Dowodzący nią wojskowy zaprowadził nas do swego naczelnika który podjął się przedstawienia nas szeikowi Darazów.

Szeik, przyjaźnie podał mi rękę i rzekł: « Młody Andaluzyjczyku, bracia nasi z Kassar-Gomelezu, pochlebnie mi piszą o tobie. Oby błogosławieństwo proroka spoczęło na tobie. » Sud-Ahmeta, szeik zdawał się znać od dawna. Zastawiono wieczerzę, poczem wpadli jacyś ludzie dziwnie ubrani i zaczęli rozmawiać z szeikiem w języku dla mnie niezrozumiałym. Wyrażali się z gwałtownością, wskazując na mnie jak gdyby oskarżali mnie o jakową zbrodnię. Rzuciłem wzrokiem na mego towarzysza podróży ale ten znikł. Szeik wpadł na mnie w niepohamowany gniew. Porwano mnie, okuto mi łańcuchami ręce i nogi i wrzucono do więzienia.

Była to jaskinia wykuta w skale, tu i owdzie poprzerywana łączącemi się z sobą wydrążeniami. Lampa oświecała wejście do mego podziemia, spostrzegłem dwoje przeraźliwych oczu i tuż za niemi straszliwą paszczę uzbrojoną potwornemi zębami. Kroko-

dyl wsunął pół swego ciała do mojej jaskini i groził mi pochłonięciem. Byłem skrępowany, nie mogłem się ruszyć, odmówiłem więc modlitwę i czekałem śmierci.

Krokodyl jednak był przykuty na łańcuchu; była to próba na jaką chciano wystawić moją odwagę. Daryci tworzyli w ówczas liczną sektę na wschodzie; początek jej odnosi się do pewnego zagorzalca nazwiskiem Daraza, który w istocie był tylko narzędziem Hakema-ben-Rillaha, trzeciego kalifa Fatymitów w Egipcie. Władzca ten, znany z swojej bezbożności, usiłował koniecznie przywrócić dawne izyjskie zabobony. Rozkazał się uważać za wcielenie bóstwa i oddawał się najpotworniejszym sprosnościom, do których upoważniał także swoich sektarzów. W owej epoce, nie zniesiono jeszcze zupełnie dawnych tajemnic i odprawiano je w podziemiach labiryntu. Kalif kazał się wtajemniczyć, ale upadł w szalonych swoich przedsięwzięciach. Zwolennicy jego, prześladowani, schronili się do labiryntu.

Dziś wyznają najczystszą wiarę mahometańską, ale zastosowaną do sekty Alego jaką niegdyś przyjęli byli Fatymici. Przybrali nazwisko Darytów, dla uniknięcia po-

wszechnie znienawidzonego miana Hakemitów. Daryci z dawnych tajemnic, zostawili tylko zwyczaj wystawiania na próby. Byłem obecnym przy kilku i zauważałem środki fizyczne, nad któremi bezwątpienia byliby się zastanowili pierwsi uczeni europejscy; nadto zdaje mi się że Daryci mają pewne stopnie tajemnic, gdzie wcale już nie chodzi o mahometanizm, ale o rzeczy o których niemam żadnego pojęcia. Wreszcie, do zbadania ich, byłem naówczas zbyt młodym. Przepędziłem cały rok w podziemiach labiryntu, jeździłem często do Kairu gdzie stawałem u ludzi tajemnemi związkami z nami połączonych.

Właściwie mówiąc, podróżowaliśmy jedynie dla poznania skrytych nieprzyjacioł wyznania sunnickiego, naówczas panującego. Wybraliśmy się w drogę do Maskaty, gdzie Iman wyraźnie oświadczył się przeciw muzułmanom. Znakomity ten duchowny, przyjął nas nader uprzejmie, pokazał nam spis wierzących w niego pokoleń arabskich i dowiódł że z łatwością mógł Sunnitów z Arabji wypędzić. Wszelako, nauka jego sprzeciwiała się wyznaniu Alego, niemieliśmy więc z nim nic do czynienia.

Ztamtąd popłynęliśmy do Bassory i przez Szyraz przybyliśmy do państwa Sefiego. Tu w istocie wszędzie znaleźliśmy wyznanie Alego panującem, ale Persowie oddali się roskoszom, niezgodom domowym i mało co dbali o postęp islamizmu na zewnątrz ich kraju. Zalecono nam odwiedzenie Izydów, zamieszkujących wierzchołki Libanu. Nazwisko to Izydów, nadawano różnym rokzajom sektarzów, ci właściwie znami są pod nazwą «*Muthialis*.» Z Bagdadu więc obróciliśmy się drogą przez pustynię i przybyliśmy do Tradmory, którą wy nazywacie Palmyrą, zkąd napisaliśmy do szeika Izydów. Przysłał nam konie, wielbłądy i zbrojny orszak.

Zastaliśmy cały naród zgromadzony w dolinie niedaleko Balbeku. Tam doznaliśmy prawdziwego zadowolenia. Sto tysięcy zagorzalców, wyło przeklęstwa na Omara i pochwały Alego. Odprawiono pogrzebną uroczystość na cześć Hussejna syna Alego. Izydowie, nożami krajali sobie ramiona, niektórzy nawet uniesieni gorliwością poprzeżynali sobie żyły i poumierali nurzając się we własnej krwi.

Zabawiliśmy dłużej u Izydów aniżeli się spodziewałem i otrzymaliśmy nareszcie wia-

domości z Hiszpanji. Rodzice moi już nie żyli i szeik przysposabiał mnie za syna.

Po czterech latach podróży, szczęśliwie nakoniec wróciłem do Hiszpanji. Szeik przysposobił mnie ze wszystkiemi zwykłemi uroczystościami. Wkrótce uwiadomiono mnie o rzeczach, nieznanych nawet sześciu naczelnikom rodzin. Chciano ażebym został Mahaddym. Naprzód miałem się dać uznać na Libanie. Daryci egipscy oświadczyli się za mną, Kairawan także przeszedł na moją stronę; w każdym razie to ostatnie miejsce powinienembył obrać na stolicę. Tam przeniósłszy raz, bogactwa Kassar-Gomelezu, wkrótce mogłem zostać najpotężniejszym władzcą na ziemi.

Wszystko to było nie źle wymyślonem, ale naprzód byłem jeszcze zbyt młodym, powtóre nie miałem żadnego pojęcia o wojnie. Postanowiono więc że niezwłocznie udam się do wojska ottomańskiego, które naówczas toczyło bój z Niemcami. Obdarzony łagodnym sposobem myślenia, chciałem oprzeć się tym zamiarom, ale trzeba było być posłusznym. Wyprawiono mnie jak na znakomitego wojownika przystało, udałem się do Stambułu i przyłączyłem do orszaku wezyra. Pewien

wódz niemiecki, nazwiskiem Eugeniusz, pobił nas na głowę i zmusił wezyra do cofnięcia się za Tanę, czyli Dunaj. Następnie, chcieliśmy znowu rozpocząć zaczepną wojnę i przejść do Siedmiogrodu. Postępowaliśmy wzdłuż Prutu, gdy Węgrowie, z tyłu na nas wpadli, odcięli od granic kraju i do szczętu rozbili. Dostałem dwie kule w piersi i porzucono mnie na polu bitwy jako poległego.

Koczujący Tatarzy, podnieśli mnie, owiązali moje rany i za całe pożywienie, dawali mi skwaśniałe nieco kobyle mleko. Napój ten, mogę śmiało rzec, ocalił mi życie; przez rok jednak tak dalece byłem osłabionym że niemogłem dosiąść konia i gdy horda zmieniała koczowisko, kładziono mnie na wozie z kilkoma staremi kobietami, które mnie pielęgnowały.

Umysł mój, równie jak ciało, upadł na siłach, i nie mogłem ani słowa nauczyć się po tatarsku. Po upływie dwóch lat, spotkałem mułłę znającego język arabski. Powiedziałem mu że byłem maurem z Andaluzyi i że błagałem aby mi pozwolono wrócić do ojczyzny. Mułła przemówił za mną do hana który dał mi pieniędzy na podróż.

Dostałem się nareszcie do naszych jaskiń,

gdzie oddawna uważano mnie za straconego. Przybycie moje sprawiło powszechną radość, sam tylko szeik nie cieszył się, widząc mnie tak osłabionego i z nadwerężonem zdrowiem. Teraz, mniej niż kiedykolwiek byłem zdolny na Mahaddego. Wszelako, wysłano do Kairawanu, dla wybadania umysłów, chciano bowiem czemprędzej rozpocząć.

Po sześciu tygodniach, wrócił poseł. Wszyscy otoczyli go z nadzwyczajną ciekawością, gdy w tem w samym środku swego opowiadania, padł jak zemdlony. Udzielono mu pomocy, odzyskał przytomność, chciał mówić ale nie mógł zebrać myśli. Zrozumiano tylko że w Kairawanie, panowała zaraza. Chciano go oddalić ale już było za poźno: dotykano się podróżnego, przenoszono jego rzeczy i odrazu, wszyscy mieszkańcy jaskiń ulegli straszliwej klęsce.

Była to sobota. Następnego piątku, gdy Maurowie z dolin zeszli się na modlitwę i przynieśli dla nas żywność, zastali tylko trupy pośród których ja czołgałem się z wielką narością pod lewą piersią. Uniknąłem jednak śmierci.

Nie lękając się już zarazy, wziąłem się do grzebania umarłych. Rozbierając sześciu na-

czelników rodzin, znalazłem sześć pasków pargaminowych, złożyłem je i tak odkryłem tajemnicę o niewyczerpanej kopalni. Szeik przed śmiercią, otworzył był wodociąg, spuściłem więc wodę i przez jakiś czas napawałem się widokiem moich bogactw, nie śmiejąc ich dotknąć. Życie moje było okropnie burzliwem, potrzebowałem spoczynku i godność Mahaddego, niemiała dla mnie żadnego powabu.

Z resztą nie posiadałem tajemnicy porozumień z Afryką. Mahometanie, mieszkający w dolinie, postanowili odtąd modlić się u siebie, byłem więc sam w całem podziemiu. Zalałem znowu kopalnię, pozabierałem klejnoty znalezione w jaskini, wymyłem je starannie w occie i udałem się do Madrytu jako maurytański kupiec klejnotów z Tunisu.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem miasto chrześcijańskie; zdziwiła mnie wolność kobiet i zgorszony byłem lekkomyślnością mężczyzn. Z utęsknieniem wzdychałem za przesiedleniem się do jakiego miasta mahometańskiego. Chciałem oddalić się do Stambułu, żyć tam w zbytkownem zapomnieniu i kiedy niekiedy powracać do jaskiń dla odnowienia moich funduszów.

Takie były moje zamiary. Myślałem że nikt o mnie niewiedział; ale myliłem się. Aby bardziej ujść za kupca, udawałem się na przechadzki publiczne i rozkładałem tam moje klejnoty. Ustanawiałem na nie stałą cenę i nigdy nie wdawałem się w żadne targi. Postępowanie to zjednało mi powszechną wziętość i zapewniło korzyści o jakie wcale nie dbałem. Tymczasem, gdziekolwiek się ruszyłem, czy to do Prado, czyli do Buen-Retiro albo w jakiekolwiek inne publiczne miejsce, wszędzie ścigał mnie jakiś człowiek, którego bystre i przenikliwe oczy, zdawały się czytać w mojej duszy.

Bezustanne spojrzenia tego człowieka, wprawiały mnie w niewypowiedzianą niespokojność. —

Szeik zamyślił się, jakby przypominał sobie doznane wrażenia, w tem dano znać że wieczerza była na stole, odłożył zatem dalsze opowiadanie na dzień następny.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY.

Poszedłem do kopalni i znowu oddałem się mojej pracy. Wykułem już był znaczną ilość najpiękniejszego złota; w nagrodę za moją pilność, wieczorem szeik tak dalej jął rozpowiadać.

DALSZY CIĄG HISTORYI SZEIKA GOMELEZÓW.

Mówiłem ci że będąc w Madrycie, gdziekolwiek się obróciłem, jakiś nieznajomy ciągle ścigał mnie wzrokiem i nieustannemi spojrzeniami nabawiał niewypowiedzianej niespokojności. Pewnego wieczora, postanowiłem nareszcie odezwać się do niego. «Czego chcesz odemnie? — rzekłem mu — czy chcesz mnie pożreć twoim wzrokiem? co masz ze mną do czynienia?»

«Nic — odpowiedział nieznajomy — chcę cię tylko zamordować, jeżeli wydasz taje-

mnicę Gomelezów.» Kilka tych słów, objaśniło mi moje położenie. Widziałem że trzebabyło wyrzec się spoczynku i posępna niespokojność, nieodstępna towarzyszka wszystkich skarbów, owładnęła moim umysłem.

Było już pożno, nieznajomy zaprosił mnie do siebie, kazał zastawić wieczerzę, następnie zamknął starannie drzwi i padając przedemną na kolana, rzekł: «Władzco jaskini, przyjmij mój hołd; ale jeżeli uchybisz twoim obowiązkom, zamorduję cię jako Billah-Gomelez zamordował niegdyś Sefiego.» — Prosiłem mego nadzwyczajnego wazala aby raczył podnieść się, usiąść i opowiedział mi kim jest. Nieznajomy, posłuszony moim życzeniom, zaczął w te słowa:

HISTORYA RODU UZEDÓW.

Ród nasz jest jednym z najdawniejszych w świecie, ale ponieważ nie lubimy szczycić się naszem pochodzeniem, poprzestajemy więc na wywodzeniu naszego początku od Abiszuaha syna Fineasza, wnuka Eleazara i prawnuka Aarona, który był bratem Mojżesza i wielkim kapłanem Izraela. Abi-

szuah był ojcem Bukiego, dziadem Uzego, pradziadem Seraiaha, prapradziadem Meraiotha który był ojcem Amariaha, dziadem Achimanza i pradziadem Azariaha drugiego.

Azariah był wielkim kapłanem sławnej świątyni Salomona, i pozostawił po sobie pamiętniki które kilku z jego potomków dalej prowadziło. Salomon tyle uczyniwszy dla czci Adunaja, zbezcześnił nareszcie swoją starość pozwalając swoim żonom, publicznie oddawać cześć bałwanom. Azariah, chciał z początku groźnie wystąpić przeciw tej zbrodniczej bezbożności ale namyślił się i pojął że monarchowie na starość muszą przecie mieć jakieś względy dla swoich małżonek. Przez szpary więc patrzył na nadużycia którym nie mógł zapobiedz i umarł wielkim kapłanem.

Azariah był ojcem Amariaha drugiego, dziadem Sadoka, pradziadem Achituba, prapradziadem Szalluma, który był ojcem Szylkiaha, dziadem Azariaha trzeciego, pradziadem Seruiaha i prapradziadem Jozedeka zaprowadzonego do niewoli babilońskiej.

Jozedek miał brata młodszego nazwiskiem Obadiaha, od którego my właśnie pochodzimy. Ten nie miał jeszcze piętnastu lat

gdy oddano go do orszaku paziów i zamieniono mu nazwisko na Sabdeka. Byli tam i inni młodzi hebrajczycy którym także pozmieniano nazwiska. Czterech z pomiędzy nich niechciało jadać z kuchni królewskiej, dla nieczystych mięs jakie w niej gotowano; żywili się więc korzonkami i wodą i niemniej przeto byli tłustymi, Sabdek sam zjadał przeznaczone dla nich potrawy, pomimo to jednak coraz bardziej chudł.

Nabuchodonozor był wielkim monarchą, ale może nieco zbyt pobłażającym swej dumie. Widział był w Egipcie kolossy na sześćdziesiąt stóp wysokości, polecił więc aby wykuto jego posąg tego samego rozmiaru, ozłocono go i rozkazał wszystkim padać przed nim na kolana. Młodzi hebrajczycy, którzy niechcieli jeść mięsa nieczystego, również odmówili wybijania pokłonów. Sabdek nie zważając na to, gorliwie się kłaniał, nadto we własnoręcznych pamiętnikach, przykazał swoim potomkom, aby zawsze kłaniali się przed królami, ich posągami, ulubieńcami, kochankami a nawet przed ich małemi pieskami. Obadiah czyli Sabdek był ojcem Salatiela żyjącego za czasów Xerxesa, którego powinnibyście nazywać Szyroesem, żydzi zaś

nazywali Ahaszejrysem. Król ten Perski miał brata nazwiskiem Amana, człeka dziwnie dumnego i wyniosłego. Aman ogłosił że kto tylko nie zechce wybijać mu pokłonów, zostanie powieszonym. Salatiel pierwszy padał przed nim na twarz, gdy zaś powieszono Amana, Salatiel znowu pierwszy kłaniał się przed Mardochejem. Salatiel był ojcem Malachiela i dziadem Zafada, który mieszkał w Jerozolimie, właśnie gdy Nehemias był rządcą miasta. Kobiety i dziewczęta żydowskie nie były bardzo zachwycającemi, przekładano nad nie Moabitki i Aszodanki. Zafad, zaślubił dwie Aszodanki. Nehemias, przeklął go, wytłukł pięściami i jak nawet sam ten święty człowiek mówi w swojej historyi, wyrwał mu garść włosów z brody. Wszelako Zafad, w pamiętnikach swoich poleca swoim potomkom, aby wcale nie zważali na zdania żydów gdy im się inne jakie kobiety podobają.

Zafad był ojcem Naassona, dziadem Elfada, pradziadem Zorobita, który był ojcem Eluhana i dziadem Uzabila; ten ostatni żył w czasach gdy żydzi zaczęli się burzyć przeciwko Machabeuszom. Uzabit, z natury był nieprzyjacielem wojny, zabrał więc co miał

i schronił się do Kaziathu, miasta hiszpańskiego zamieszkanego w ówczas przez Kartagińczyków.

Uzabit był ojcem Jonatana i dziadem Kamila który dowiedziawszy się że w kraju wszystko było spokojnie, wrócił do Jerozolimy, wszelako zachował dom swój w Kaziacie i inne majątki które był nabył w okolicach tego miasta. Przypominasz sobie że za niewoli babilońskiej, ród nasz rozpadł się na dwie gałęzie. Jozedek, głowa starszej linji, był uczciwym i pobożnym izraelitą, wszyscy też potomkowie jego, poszli w jego ślady. Niepojmuję dla czego, między obecnemi liniami powstała tak zacięta nienawiść, że starsza musiała wynieść się do Egiptu i tam poświęciła się służbie Boga Izraelowego w świątyni wzniesionej przez Oniasa. Linia ta wygasła lub raczej zatrzymała się na osobie Ahaswera, znanego pod nazwiskiem Żyda wiecznego tułacza.

Kalamil był ojcem Elifaza, dziadem Eliazuba i pradziadem Efraima, za którego czasów, podobało się cesarzowi Kaliguli, umieścić swój posąg w świątyni jerozolimskiej. Zebrał się cały Sahendryn; Efraim który także należał do jego składu, utrzymywał żeby

umieszczono w świątyni nietylko cesarza posąg, ale i jego konia, który już był konsulem; Jerozolima wszelako wzburzyła się przeciw prokonsulowi Petroniusowi i cesarz zaniechał swoich zamiarów.

Efraim był ojcem Nabaiotha, za którego Jerozolima powstała przeciw Wespazyanowi. Nabaioth nie czekał wypadków i przeniósł się do Hiszpanji, gdzie jak mówiłem, posiadaliśmy znaczne majątki. Nabaioth był ojcem Juzuba, dziadem Simrona i pradziadem Refaiaha który był ojcem Jehemiasza, ten zaś został nadwornym astrologiem Gunderyka króla Wandalów.

Jehemiasz był ojcem Ezebona, dziadem Uzego i pradziadem Jerimotha, który był ojcem Amathota i dziadem Almetha. Za tego ostatniego czasów, Jusuf Ben Taher wkroczył do Hiszpanji w celu podbicia i nawrócenia kraju. Almeth stawił się przed wodzem maurytańskim, prosząc go aby mu dozwolił przejść na wiarę Proroka. «Wiesz zapewne mój przyjacielu — wódz mu odpowiedział — że w dniu sądu ostatecznego wszyscy Żydzi zostaną przemienieni w osłów i będą wiernych przenosić do raju, gdybyś zatem przeszedł na naszą wiarę, mogłoby nam kiedyś

zabraknąć pociągów.» Odpowiedź ta nie była zbyt grzeczną, Almeth jednak pocieszył się przyjęciem jakiego doznał od Massuda brata Jussupowego. Ten zatrzymał go przy sobie i wysyłał z różnemi poleceniami do Afryki i Egiptu. Alameth był ojcem Sufiego, dziadem Guniego i pradziadem Jessera, który był ojcem Szalluma pierwszego Szarafa, czyli podskarbiego na dworze Mahaddego.

Szallum osiedlił się w Kairawanie i miał dwóch synów, Mahira i Mahaba. Pierwszy, pozostał w Kairawanie, drugi zaś przybył do Hiszpanji, wszedł w służbę Kassar-Gomelezów i utrzymywał związki pomiędzy nimi a Egiptem i Afryką.

Mahab był ojcem Jofeleta, dziadem Malkiela, pradziadem Behreza i prapradziadem Dehoda, który był ojcem Sachamera, dziadem Snaha, pradziadem Achiego, prapradziadem Berego który miał syna Abdona.

Abdon widząc że wypędzano Maurów z całej Hiszpanji, na dwa lata przed zdobyciem Grenady, przeszedł na wiarę chrześcijańską. Król Ferdynand trzymał go do chrztu. Pomimo to jednak Abdon pozostał w służbie Gomelezów, w starości wyparł się nazarejskiego proroka i powrócił do wiary przodków.

Abdon był ojcem Mehritala i dziadem Azela za którego to Billah, ostatni prawodawca mieszkańców jaskiń, zamordował Sefiego.

Pewnego dnia, szeik Billah kazał wezwać Azela i w te słowa się do niego odezwał: «Wiesz że zamordowałem Sefiego. Prorok mu tę śmierć przeznaczył, chcąc kiedyś powrócić kalifat rodowi Alego. Utworzyłem więc stowarzyszenie złożone z czterech rodzin, Izydów na Libanie, Khalilów w Egipcie i Ben-Arazów w Afryce. Naczelnicy trzech powyższych rodzin przyrzekają za siebie i swoich potomków, że kolejno co trzy lata będą do naszych jaskiń przysyłali człowieka odważnego, mądrego, znającego świat, przezornego a nawet chytrego. Obowiązkiem jego będzie doglądanie czy wszystko w jaskiniach znajduje się w należytym porządku, w razie zaś wykroczenia przeciw przepisom, będzie miał prawo zamordowania szeika, sześciu naczelników rodzin, jednem słowem wszystkich którzyby okazali się winnymi. W nagrodę za swoją służbę, dostanie siedmdziesiąt tysięcy sztuk czystego złota czyli, po waszemu licząc, sto tysięcy cekinów.»

«Potężny szeiku — odpowiedział Azel —

wymieniłeś trzy tylko rodzin, któraż będzie czwartą? »

« Twoja — rzekł Billah — i otrzymasz za to corocznie trzydzieści tysięcy sztuk złota, musisz jednak podjąć się utrzymywania związków, pisania listów a nawet wejść do składu rządów jaskini. Gdybyś w czemkolwiek uchybił, jedna z trzech rodzin, obowiązaną jest, natychmiast cię zamordować. »

Azel chciał namyślać się ale przezwyciężyła w nim chęć złota, zobowiązał się więc za siebie i za swoich potomków. Azel był ojcem Gerszona. Trzy wtajemniczone rodziny co trzy lata odbierały siedmdziesiąt tysięcy sztuk złota. Gerszon był ojcem Mammona czyli moim. Wierny zobowiązaniom mego dziada, gorliwie służyłem władzcom jaskini, nawet od czasu zarazy, z moich własnych funduszów, wypłaciłem Ben-Azarom ich siedmdziesiąt tysięcy sztuk złota. Teraz przychodzę ci złożyć hołd i zapewnienie o niezmiennej mojej wierności. —

« Zacny Mammonie — rzekłem — ulituj się nademną! mam już dwie kule w piersiach i wcale nie jestem zdolnym ani na szeika ani na Mahaddego. »

« Co się tyczy Mahaddego — odpowiedział

Mammon — bądź spokojnym, nikt już o nim nie myśli, wszelako nie możesz odmówić przyjęcia godności i obowiązków szeika, jeżeli nie chcesz za trzy tygodnie, ty a nawet i twoja córka być wymordowanemi przez Khabilów. »

« Moja córka? » zawołałem zdziwiony.

« Nieinaczej — rzekł Mammon — ta sama którą miałeś z wróżką. » —

Oznajmiono wieczerzę i szeik przerwał swoje opowiadanie.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY.

Jeszcze jeden dzień przepędziłem w kopalni, wieczorem zaś szeik ulegając moim prośbom tak dalej jął mówić.

DALSZY CIĄG HISTORYI SZEIKA GOMELEZÓW.

Nie było co czynić, rozpoczęliśmy więc z Mammonem dawne działania Kassar-Gomelezów, mianowicie związki z Afryką i z ważniejszemi rodzinami hiszpańskiemi. Sześć rodzin maurytańskich osiedliło się w jaskiniach; ale Gomelezom afrykańskim źle się wiodło, dzieci płci męzkiej umierały lub rodziły się niedołężne na umyśle. Ja sam z dwunastu moich żon, miałem tylko dwóch synów którzy oba poumierali. Mammon namówił mnie do uczynienia wyboru między Gomelezami chrześcijańskimi, a nawet pomię-

dzy tymi którzy po kądzieli z naszej krwi pochodzili i mogli byli przejść na wiarę proroka.

Tym sposobem, Velasquez miał prawo do naszego przysposobienia, przeznaczałem mu za żonę moją córkę, tę samą Rebekę którą widziałeś w obozie cyganów. Wychowywała się ona u Mammona który wyuczył ją różnych nauk i kabalistycznych wyrażeń.

Po śmierci Mammona, syn jego nastąpił w zamku Uzedy; z nim to ułożyliśmy wszystkie szczegóły twego przyjęcia; spodziewaliśmy się że przejdziesz na wiarę mahometańską lub przynajmniej że zostaniesz ojcem, i pod tym ostatnim względem ziściły się nasze nadzieje. Dzieci, które kuzynki twoje noszą w swych łonach, będą od wszystkich uważanemi jako pochodzące z najczystszej krwi Gomelezów. Miałeś przybyć do Hiszpanji. Don Enriquez de Sa, rządca Kadyxu, jest jednym z wtajemniczonych i on to polecił ci Lopeza i Moskita którzy porzucili cię przy źródle Alcornoquez. Pomimo to, odważnie postępowałeś dalej aż do Venty-Quemady, gdzie zastałeś twoje kuzynki; ale za pomocą usypiającego napoju, nazajutrz obudziłeś się pod szubienicą braci Zota. Ztamtąd przybyłeś

do mojej pustelni, gdzie znalazłeś straszliwego opętańca Paszeka, który w istocie jest tylko skoczkiem biskajskim. Nieborak wybił sobie jedno oko, wykonywając skok niebezpieczny, i jako kaleka uciekł się do naszego miłosierdzia. Myślałem że smutna jego historya, sprawi na tobie jakiekolwiek wrażenie i że zdradzisz tajemnicę zaprzysiężoną twoim kuzynkom; ale dotrzymałeś wiernia twego słowa honoru. Nazajutrz, wystawiliśmy cię na daleko straszliwszą próbę. Fałszywa inkwizycya, zagrażała ci najokropniejszemi katuszami, nie mogła jednak zachwiać twojej odwagi.

Pragnęliśmy bliżej cię poznać i sprowadziliśmy cię do zamku Uzedy. Tam z wzniesienia ogrodowego zdawało ci się żeś poznał twoje dwie kuzynki, one to były w istocie, wszedłszy atoli do namiotu cygana ujrzałeś tylko jego córki z któremi, bądź przekonanym, że nic niemiałeś do czynienia.

Musieliśmy dość długo zatrzymywać cię między nami i obawialiśmy się abyś się nie nudził. Wynajdowaliśmy ci więc różne rozrywki, i tak naprzykład: Uzeda z rękopisów rodzinnych, wyuczył jednego starca z moich podwładnych historyi Żyda wiecznego tuła-

cza, którą ten wiernie ci opowiedział. Tym razem przyjemność połączoną była z nauką.

Teraz, znasz już całą tajemnicę naszego podziemnego życia, które zapewne nie długo już będzie trwało. Wkrótce usłyszysz że trzęsienia ziemi zaburzyły te góry; w tym celu przygotowaliśmy niezmierne zapasy palnych materyałów, ale będzie to już ostateczna nasza ucieczka.

Idź więc teraz Alfonsie tam gdzie cię świat wzywa. Otrzymałeś od nas wexel na nieograniczoną summę, stosownie przynajmniej do żądań jakie upatrzyliśmy w tobie, pamiętaj że wkrótce zapewne zabraknie podziemi, myśl więc o zapewnieniu sobie niezawisłego losu. Bracia Moro podadzą ci do tego środki. Jeszcze raz żegnam cię, uściskaj twoje małżonki. Schodki te o dwóch tysiącach stopni, zaprowadzą cię do zwalisk Kassar-Gomelezu, gdzie znajdziesz przewodników do Madrytu. Żegnam cię, żegnam. —

Ruszyłem po kręconych schodkach i zaledwie ujrzałem światło słoneczne, gdy zarazem spostrzegłem dwóch moich służących, Lopeza

i Moskita, którzy porzucili mnie byli przy źródle Alcornoquez. Oba z radością ucałowali moje ręce i zaprowadzili mnie do starej wieży, gdzie mnie już oczekiwała wieczerza i wygodne posłanie.

Następnego dnia, bez zatrzymywania, udaliśmy się w dalszą drogę. Wieczorem przybyliśmy do Venty w Cardegnas, gdzie zastałem Velasqueza zagłębionego nad jakiemś zagadnieniem wyglądającem z pozoru nakształt kwadratury koła. Znakomity matematyk z początku nie mógł mnie poznać i musiałem powoli przywodzić mu na pamięć wszystkie wypadki, zaszłe podczas jego pobytu w Alpuharach. Wtedy uściskał mnie, wynurzając radość jakiej doznawał z mego spotkania, ale zarazem oświadczył mi boleść z jaką musiał rozstać się z Laurą Uzeda, tak bowiem nazywał Rebekę.

ZAKOŃCZENIE.

Dnia 20. Czerwca, roku 1739 przybyłem do Madrytu. Nazajutrz po moim przyjeździe otrzymałem od braci Moro list z czarną pieczętką, zapowiadający mi jakiś nieszczęsny wypadek. W istocie, dowiedziałem się z niego że ojciec mój umarł dotknięty nagłem uderzeniem krwi, matka zaś wydzierżawiwszy posiadłość naszą Worden, oddaliła się do jednego z klasztorów bruxelskich, gdzie chciała spokojnie żyć ze swego dożywocia.

W dzień potem, sam Moro przyszedł do mnie, zalecając mi jak najściślejsze dochowanie tajemnicy. « Dotąd — rzekł — znasz Señor tylko pewną część naszych tajemnic, ale wkrótce dowiesz się o wszystkiem. W obecnej chwili, wszyscy wtajemniczeni zajmują się w jaskiniach, umieszczaniem swoich

funduszów po rozmaitych krajach, i gdyby którykolwiek z nich, stracił je nieszczęsnym wypadkiem, naówczas, wszyscy przybylibyśmy mu na pomoc. Señor miałeś stryja w Indyach, który umarł nic prawie ci nie zostawiwszy. Puściłem pogłoskę że odziedziczyłeś znaczny spadek, ażeby nikt nie dziwił się twoim nagłym bogactwom. Trzeba będzie zakupić majątki w Brabancie, w Hiszpanji a nawet w Ameryce, pozwolisz że ja się tem zajmę. Co się tyczy ciebie Señor, znam twoją odwagę i nie wątpię że wsiądziesz na okręt ś. Zacharyasza który odpływa z posiłkami do Kartaginy, zagrożonej przez admirała Wernona. Ministeryum angielskie wcale nie pragnie wojny, opinia publiczna usilnie je tylko do niej skłania. Pokój jednak jest blizkim i jeżeli opuścisz tę sposobność przypatrzenia się wojnie, zapewne drugiej tak łatwo nie znajdziesz.»

Przedstawiany mi zamiar przez Mora, był już oddawna ułożonym przez moich opiekunów. Wsiadłem na okręt z moją rotą, która wchodziła do składu batalionu wybranego z różnych pułków. Podróż udała nam się pomyślnie; przybyliśmy w sam czas i zamknęliśmy się w twierdzy z mężnym Eslebą.

Anglicy odstąpili od oblężenia i roku 1740. w miesiącu Marcu, powróciłem do Madrytu.

Będąc raz na służbie u dworu, spostrzegłem śród orszaku królowej, młodą kobietę w której natychmiast poznałem Rebekę. Powiedziano mi że była to pewna księżniczka z Tunis, która dla przejścia na naszą wiarę, uciekła z własnego kraju. Król trzymał ją do chrztu i nadał jej tytuł księżniczki z Alpuhary, poczem książe Velasquez zażądał jej ręki. Rebeka spostrzegła że mi o niej mówiono, rzuciła mi więc spojrzenie błagające abym dochował tajemnicy.

Następnie, dwór przeniósł się do St. Ildefonso, ja zaś z moją rotą stanąłem na kwaterze w Toledo.

Najałem dom w ciasnej uliczce, niedaleko rynku. Naprzeciwko mnie, mieszkały dwie kobiety z których każda miała dziecie, mężowie zaś ich, jak utrzymywano, oficerowie z marynarki, znajdowali się w ówczas na morzu. Kobiety te żyły w zupełnem odosobieniu i zdawały się wyłącznie zajmować swemi dziećmi, które w istocie piękne były jak aniołki. Przez cały dzień, obie matki kołysały je tylko, kąpały, ubierały i karmiły. Wzruszający ten widok ma-

cierzyńskiego przywiązania z każdym dniem, coraz bardziej tak dalece mnie zajmował, że nie mogłem odejść od okna. Wprawdzie, powodowała mną i ciekawość, radbymbył bowiem przypatrzyć się twarzom moich sąsiadek, które zawsze pilnie zasłaniały. Tak upłynęło piętnaście dni. Pokój wychodzący na ulicę należał do dzieci i kobiety w nim nie jadały, pewnego jednak wieczora, spostrzegłem że nakrywano w nim stół i przygotowywano niby jakąś uroczystość.

Przy końcu stołu, obszerne krzesło ozdobione wieńcem z kwiatów, oznaczało miejsce króla tej uroczystości, po obu stronach, postawiono wysokie stołki na których posadzono dzieci. Następnie przyszły moje sąsiadki i skinieniem rąk zaczęły prosić mnie abym je odwiedził. Wahałem się, niewiedząc co mam począć, gdy w tem odsłoniły zasłony i poznałem Eminę i Zibeldę. Przepędziłem z niemi sześć miesięcy.

Tymczasem, sankcya pragmatyczna i spory o dziedzictwo Karola VI. zapaliły w Europie wojnę, w której niebawem i Hiszpania czynny przyjęła udział. Opuściłem więc moje kuzynki i poszedłem na adjutanta do infanta Don Phelipa. Przez cały czas wojny,

zostawałem przy boku tego księcia, po zawarciu zaś pokoju mianowano mnie pułkownikiem.

Byliśmy we Włoszech. Komissant domu braci Moro, przybył do Parmy dla ściągnięcia niektórych funduszów i uporządkowania pieniężnych spraw tego księztwa. Pewnej nocy, człowiek ten przyszedł do mnie i tajemniczo oświadczył, że z niecierpliwością oczekiwano mnie w zamku Uzedy i że powinienem był natychmiast wybrać się w podróż? Przy tych słowach, wskazał mi zarazem jednego z wtajemniczonych, którego miałem spotkać w Malaca.

Pożegnałem infanta, w Liwornie wsiadłem na okręt i po dziesięciu dniach żeglugi, przybyłem do Malaca. Wzmiankowany człowiek, uprzedzony o mojem przybyciu, czekał już na mnie w przystani. Tego samego dnia wyjechaliśmy i nazajutrz stanęliśmy w zamku Uzedy.

Zastałem tam liczne zgromadzenie; naprzód, szeika, córkę jego Rebekę, Velasqueza, kabalistę, cygana z dwiema córkami i zięciami, trzech braci Zotów, mniemanego opętańca, wreszcie kilkunastu mahometanów z trzech wtajemniczonych rodzin. Szeik oznaj-

mił: że ponieważ zebraliśmy się wszyscy, natychmiast zatem udamy się do podziemia.

W istocie, jak tylko noc zapadła, wyruszyliśmy w drogę i przybyliśmy o świcie. Zeszliśmy do podziemia i przez jakiś czas oddali spoczynkowi.

Następnie szeik zgromadził nas razem i temi słowy odezwał się, powtarzając to samo po arabsku dla wiadomości mahometanów: «Kopalnie złota, które od tysiąca blizko lat stanowiły, że tak powiem, majątek naszej rodziny, zdawały się niewyczerpanemi. W tem to przekonaniu, przodkowie nasi, postanowili obrócić dobyte z nich złoto, na rozszerzanie islamizmu, zwłaszcza zaś wyznania Alego. Byli oni jedynie przechowywaczami tego skarbu, którego straż kosztowała ich tyle trudów i zabiegów; ja sam doznałem w mem życiu tysiące najokropniejszych niespokojności. Pragnąc raz wyłamać się z obawy, która z każdym dniem stawała mi się nieznośniejszą, chciałem przekonać się czyli kopalnia rzeczywiście była niewyczerpaną. Przenurtowałem skałę w kilku miejscach i znalazłem że żyła złota, zewsząd dochodziła już końca. Señor Moro raczył zająć się wyrachowaniem

powstałych nam bogactw i ilości na każdego z nas przypadającej. Pokazało się z rachunku że każdy z głównych spadkobierców, otrzyma milion cekinów, współdziałacze zaś po pięćdziesiąt tysięcy. Wydobyto wszystko złoto i złożono je w oddalonej ztąd jaskini. Naprzód zaprowadzę was do kopalni, gdzie przekonanie się o prawdzie słów moich; następnie każdy przystąpi do odebrania swojej części.»

Zeszliśmy kręconemi schodkami, przybyliśmy do grobowca, ztamtąd zaś do kopalni, którą w istocie znaleźliśmy zupełnie wyczerpaną. Szeik naglił nas do jak najśpieszniejszego powrotu. Stanąwszy na górze, usłyszyliśmy straszliwy wybuch. Szeik oznajmił nam, że materye palne wysadziły w powietrze całą część podziemia, z której tylko cośmy byli wyszli.

Następnie udaliśmy się do jaskini gdzie złożono rosztę złota. Afrykanie odebrali swoje części, Moro zaś podjął się mojej i wszystkich prawie Europejczyków.

Wróciłem do Madrytu i przedstawiłem się królowi, który przyjął mnie z niewypowiedzianą dobrocią. Zakupiłem znaczne posiadłości w Kastylji; mianowano mnie hrabią

Penna-Florida i zasiadłem pomiędzy pierwszymi kastylijskimi Titolados.

Przy moich bogactwach, moje zasługi także nabrały większej wartości. W trzydziestym szóstym roku życia, zostałem generałem.

Roku 1760, powierzono mi dowództwo nad eskadrą, z poleceniem zawarcia pokoju z mocarstwami barbaryjskiemi. Popłynąłem naprzód do Tunis, spodziewając się że tam znajdę najmniej trudności i że przykład tego państwa, drugie za sobą pociągnie. Zarzuciłem kotwicę w przystani pod miastem i wysłałem oficera z oznajmieniem o mojem przybyciu. Wiedziano już o tem w mieście i całą zatokę Golety pokrywały strojne łodzie, które wraz z moim orszakiem, miały mnie przewieźć do Tunis.

Nazajutrz, przedstawiano mnie Dejowi. Był to dwudziestoletni młodzieniec, zachwycającej postaci. Przyjęto mnie z wszelkiemi zaszczytami i otrzymałem zaproszenie na wieczór do zamku nazwanego Mazubą. Zaprowadzono mnie do odległo kiosku w ogrodzie i drzwi za mną na klucz zamknięto. Otworzyły się tajemne drzwiczki, Dej wszedł, przykląkł na jedno kolano i pocałował mnie w rękę.

Drugie drzwiczki skrzypnęły i ujrzałem

wchodzące trzy zasłonięte kobiety. Odrzuciły zasłony, poznałem Eminę i Zibeldę. Ta ostatnia prowadziła za rękę, młodą dziewczynę, moją córkę. Emina była matką młodego Deja. Nie będę opisywał do jakiego stopnia obudziło się we mnie uczucie ojcowskiego przywiązania. Radość moją, mieszała tylko myśl, że dzieci moje wyznawały wiarę nieprzyjazną mojej. Dałem poznać bolesne to uczucie.

Dej wyznał mi że mocno był przywiązanym do swojej religji, że jednak siostra jego Fatyma, wychowana przez niewolnicę Hiszpankę, w głębi duszy była chrześcijanką.

Postanowiliśmy między nami że córka moja przesiedli się do Hiszpanji, przyjmie tam chrzest i zostanie moją dziedziczką.

Wszystko to stało się w przeciągu roku.

Król raczył trzymać Fatymę do chrztu i nadał jej tytuł księżniczki Oranu. Następnego roku zaślubiła najstarszego syna Velasqueza i Rebeki, o dwa lata od niej młodszego.

Zapewniłem jej cały mój majątek, dowiódłszy że niemiałem blizkich krewnych po ojcu i że młoda Maurytanka, spokrewniana ze mną przez Gomelezów, była jedyną moją spadkobierczynią. Chociaż jeszcze młody i w sile wieku, pomyśliłem jednak o miejscu któreby-

mi pozwoliło zakosztować słodyczy spoczynku. Wielkorządctwo Saragossy było wolnem, poprosiłem o nie i otrzymałem.

Podziękowawszy i pożegnawszy JKMość, udałem się do braci Morów, prosząc o oddanie mi zapieczętowanego zwoju, który przed dwudziestą pięcią laty byłem u nich złożył. Był to dziennik sześćdziesięciu pierwszych dni mego pobytu w Hiszpanji.

Przepisałem go własną ręką i złożyłem w żelaznej szkatułce, gdzie go kiedyś znajdą moi spadkobiercy.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO I OSTATNIEGO.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

SPIS DNI W TOMIE VI.

	Strona
Dzień LV.	1
Dzień LVI.	21
Dzień LVII.	39
Dzień LVIII.	53
Dzień LIX.	67
Dzień LX.	77
Dzień LXI.	89
Dzień LXII.	101
Dzień LXIII.	113
Dzień LXIV.	125
Dzień LXV.	137
Dzień LXVI.	149
Zakończenie.	155

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Biblioteka Główna UMK
300047279484